№ 27 Warszawa, dnia 20 Czerwca (2 Lipca) roku 1881.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Krolestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LVOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

ZAWIADOMIENIE.

Redakcya „Tygodnika Mód i Powieści“ oraz „Przyjaciela Dzieci“ w dniu 8-m Lipca b. r. przeniesioną zostaje na ulicę Widok pod Nr. 3 nowy, drugi dom od ulicy Brackiej po lewej ręce. Od tego więc dnia upraszamy o wysyłanie listów pod adresem powyżej wskazanym.

STARY GRAJEK.

BALLADA.

Hej Jankn cudaku! ty grajku nasz stary,
Co prawisz od rzeczy i pijesz bez miary,
Zagraj nam cokolwiek od ucha,
A kiedy ci ręka ustanie w tem graniu,
Opowiedz o swojem dawniejszem kochaniu,
Ciekawie cię każdy posłucha.

—„Ostrożnie z muzyką wywodzić mię w pole,
Muzyka Jankowa ma skrzydła sokole,
Unosi pod chmury wysoko, —
Tam gromem ponurym zahuczą me struny,
A z gromu na serce upadną pioruny,
Łez deszczem zaleje się oko.

Ten piorun oddawna w me serce uderza,
Z błyskawic tysiącem i płomień rozszerza,
Tak nawet, że płonie już głowa.
I nie ma ratunku i nie ma obrony,
A wy mi mówicie: szalony! szalony!
Ej, biednaż-to dola grajkowa!

I cóżem ja winien, o Boże, mój Boże!
Że dałeś mi ducha co lata w przestworze,
Co wierzy i kocha bez miary, —
Że w piersi mej biednej ognisko się żarzy,
Rozpala mi serce, wybucha ze twarzy,
A w oczach mych widma i mary?

Dlatego, ludziska, nie śmiejcie się z Janka,
Że prawi od rzeczy, że ciągnie ze dzbanka;
On ogień w swej piersi ugasza.
Grać nie chcę, nie mogę, bo wiele już grałem,
Lecz powieść opowiem jak niegdyś kochałem,
Choć powieść ta wielu przestrasza.

Ej! żyło się kiedyś i dobrze za młodu,
W swem siole, pomiędzy swojego narodu;
Dziś widzę te życie jak we śnie;
Nie było bezemnie igrzyska, zabawy,
Bom głośny był wszędzie ze skrzypiec i sławy,
Po siołach śpiewano me pieśnie.

Halina, dziewczyna, jak cudo urocza,
Do tanka, do pieśni, do skazek ochocza,
Oddała mi serce i duszę.
I jam ją ukochał, na biedę mej głowie,
Tak mocno, jak tylko kochają grajkowie,
I żyliśmy w dobrej otusze.

Bywało, gdy zorza na niebie zagaśnie,
Halina wychodzi na wzgórze i klaśnie, —
Ja chwytam swe skrzypce do ręki —
I biegnę na wzgórze — tam słodko i czule,
Tę małą niebogę do piersi swej tulę
I gram jej cudowne piosenki.

A miesiąc przyświecał w wieczornej godzinie,
A rzeka falami szumiała w dolinie,
A słowik gdzieś płakał za rzeką.
Dziewczyna grajkowi mówiła serdecznie,
Że kocha go wiernie, że kocha go wiecznie,
Nie zdradzi, choć będzie daleko.

U biednych, jak zwykle, niewielkie dostatki:
Potrzeba przytułku, potrzeba nam chatki,
By raik utworzyć z Haliną;
A wszystko to trzeba zarobić swą pracą;
Szukałem więc ludzi co dobrze zapłacą,
Poszedłem jak sternik z wiciną.

I długo pływałem przez Niemen szeroki,
U Niemców w Kłajpedzie służyłem dwa roki,
Przebyłem tam próbę surową.
I grosza zebrałem i wesół wracałem,
By moją Halinę powitać z zapałem,
I zrobić ją pieśni królową.

Powracam do sioła — ot cmentarz po drodze,
Z kaplicą, z krzyżami, a więc tam zachodzę
Powitać znajome mogiły, —
W świątyni u proga poprosić u Boga,
By dalej nie była ciernistą ma droga,
By w walkach pokrzepiał me siły.

Ujrzałem tłum ludzi na grobach, w kościele:
Czy pogrzeb to jaki, czy jakie wesele?
Pytałem tych ludzi zdziwiony.
A ludzie takiemi odrzekli mnie słowy:
—„To dzisiaj ślub bierze bogaty gajowy,
Człek stary, a trzeba mu żony!

„Ty Janku zbyt długo błądziłeś po świecie,
I może zanadto wierzyłeś kobiecie;
A dziś cię przekonać nieszkodzi,

Żeś ciężko zdradzony przez miłość dziewiczą,
Co rzadko jest stałą, a często zwodniczą;
Dziś Halka twa zamąż wychodzi."

Co było tam ze mną, Bóg tylko zrozumie,
Lecz język człowieczy powiedzieć nie umie,
Nie pojmie i gawiedź z ulicy.
Widziałem Halinę — na skroni jej wianek,
A przy niej ów blady, ów trupi kochanek,
Z drużbami stanęli w kaplicy.

Niepomny na ludzi, na księdza, na Boga,
Przybiegłem, stanąłem w kaplicy u proga
I skrzypce porwałem do ręki:
Płonęło mi w oczach, jam w ogniu był cały,
Jęczało me serce i skrzypce jęczały
Na nutę ze wzgórza piosenki.

Jak miesiąc przyświecał w wieczornej godzinie,
Jak rzeka falami szumiała w dolinie,
Jak słowik gdzieś płakał za rzeką;
A dziewczę grajkowi mówiło serdecznie,
Że kocha go wiernie, że kocha go wiecznie,
Nie zdradzi, choć będzie daleko.

Przerwała się służba, zamilkły organy,
Lud cały się zdziwił i patrzy jak pjany,
A młoda, tak kraśna jak róża,
Raz tylko jęknęła, — jak kreda pobladła,
Raz tylko westchnęła i martwa upadła, —
Zabiła ją piosnka ze wzgórza.

Po takim wypadku gajowy bogaty,
Powrócił sam jeden do pustej swej chaty,
I słusznie, bo zgrzeszył zawiele,
A biedną Halinę na drugi dzień rano,
Na owym wioskowym cmentarzu schowano,
Ha! straszne to było wesele...

Dziś pomną go starzy, a dla was, dla młodzi,
Z wypadków takowych to wiedzieć nie szkodzi,
Że z sercem zbyt igrać rzecz płocha,
Tem więcej z pieśniarza, bo często się zdarza,
Że mści się okropnie, gdy kto go znieważa,
Że serce te straszne, gdy kocha.

Przez pieśni i skrzypce jam został cudakiem,
Przez miłość i zdradę włóczęgą, pijakiem:
Och! różnie się z nami wydarza.
Dlatego, ludziska, nie śmiejcie się z Janka. —
To rzekłszy wychylił swój napój ze dzbanka
I poszedł ku stronie cmentarza.

A na tym cmentarzu słyszeli wieśniacy,
Gdy nocą do domu wracali po pracy,
Jak brzmiała muzyka straszliwa; —
Słyszeli tam pieśni i jęki i głosy,
Od których drży serce i jeżą się włosy,
I różne widzieli tam dziwa.

To Janek, usiadłszy na progu kaplicy,
Przygrywa szalenie na swojej skrzypicy, —
Dokoła upiorów gromady
Pląsają, hasają i dzwonią w piszczele,
Obchodzą Jankowej kochanki wesele,
A miesiąc przyświeca im blady.

Antoni Kruman.

PRUSACY W FRANKFURCIE.

Przez

ALEKSANDRA DUMASA.

Przekład

J. B.

(Dalszy ciąg.)

XVII.

Hrabia Karol von Freyberg.

Niegdyś, bardzo już dawnotemu, Cesarstwo Austryackie za czasów Karola-Piątego panowało czas jakiś nad Europą i Ameryką, Indyami Wschodniemi i Zachodniemi. Ze szczytów gór Dalmackich patrzyło na Wschód, ze szczytów Andów na zachód słońca. Gdy ostatni jego promień znikał na Zachodzie, pierwsze blaski pojawiały się na Wschodzie.

Było to mocarstwo potężniejsze niż państwo Aleksandra, większe niż cesarstwo Augusta i Karlomana. Padło pod ciosami wszechpotężnej ręki czasu, których wykonawcą po większej części była Francya.

Dla siebie oderwała ona od Cesarstwa Austryackiego Flandryą, Księztwo Baru, Burgundyą, Alzacyą i Lotaryngią.

Dla wnuka Ludwika XIV, Hiszpanią, Indye i wyspy.

Dla syna Filipa V, Neapol i Sycylją.

Oderwała Niderlandy i utworzyła z nich dwa oddzielne królestwa: Belgią i Holandią.

Nareszcie oderwała od Austryi Lombardią i Wenecyą, aby je oddać Włochom.

Dziś krańce mocarstwa, po nad którem przed trzema jeszcze wiekami słońce nie zachodziło, stanowią: od zachodu, Tyrol; od wschodu, Mołdawia; od północy, Prussy; od południa Turcya. Wiadomo że właściwą Austryą stanowi Arcy-księztwo Austryackie, którego stolicą jest Wiedeń. Po za granicami księztwa tego, stanowiącego jądro monarchii, roztaczają się na mappie Austryi: Czechy, Węgry, Illirya, Tyrol, Morawy, Szląsk, Królestwo Chorwacyi i Slawonii, Województwo Serbskie, Transylwania, Galicya, Dalmacya i Styrya. Oprócz tego około pięciu milionów Rumunów rozproszonych jest na przestrzeni Węgier i na wybrzeżach Dunaju.

Każdy z tych licznych ludów wchodzących w skład monarchii austryackiej, ma właściwy sobie charakter, obyczaje, język, fizyognomią i ubiór. Tak i mieszkańcy Styryi, powstałej z Noryki i starożytnej Panonii, zachowali dotąd swój język, dawny strój i charakter. Zanim Styrya przeszła pod panowanie austryackie, miała swoją oddzielną historyą i swoją szlachtę, datując od czasu gdy została wyniesiona do godności Marchii, to jest około 1032 roku. Owej też epoki sięgał ród hrabiego Karola von Freyberg, który zachował magnacki majątek i sam umiał być wielkim panem z charakteru obejścia i wysłowienia, w czasach gdy prawdziwi wielcy panowie coraz większą stają się rzadkością.

Karol von Freyberg był to piękny dwudziestosiedmioletni młodzieniec, wysoki, prosto się trzymający, miał prawdziwie pańskie ruchy i postawę, czarne lśniące włosy, czarne brwi i rzęsy i prześliczne rasie słowiańskiej właściwe oczy, błyszczące iak szmaragdy, jakie Homer nadaje Minerwie.

Cera jego była ogorzała, bo od lat dziecinnych był zapalonym myśliwym; zęby białe i drobne, małe nogi i ręce; a mimo to był nadzwyczajną obdarzony siłą. W górach rodzinnych polował na niedźwiedzie, kozły gemzy i była to ulubiona jego rozrywka.

Był kapitanem w pułku huzarów Lichtensteina, i utrzymywał sobie zawsze dwóch strzelców tyrolskich w ich narodowym stroju; gdy jeden spełniał wydane rozkazy, drugi stał zawsze w pogotowiu oczekując innych. Choć dobrze umieli po niemiecku, hrabia przemawiał do nich zawsze w ich rodowitej mowie. Byli to wieśniacy z jego posiadłości, dla których pojęcia i wyrazy poddaństwo i wyswobodzenie zupełnie nie istniały; uważali hrabiego za swego pana i władcę i najmocniej byli przekonani iż ma nad nimi prawo życia i śmierci. Kilkakrotnie próbował oświecić ich pod tym względem i przedstawiał im, że są wolni, ale nietylko wierzyć ale nawet słuchać go nie chcieli.

Przed trzema laty, podczas polowania na gemzy jeden z jego strzelców pośliznął się wpadł w przepaść z której wydobyto go nieżywym; hrabia rozkazał swemu pełnomocnikowi, aby wdowie wypłacał 500 reńskich rocznej dożywotnej pensyi. Biedna kobieta ze łzami dziękowała hrabiemu, ale ani jej w myśli nie powstało iżby miał jakiś względem niej obowiązek, za to, że mąż jej stracił życie w jego usługach.

Hrabia von Freyberg jednocześnie dowiedział się o pojedynku i powrocie Fryderyka i zaraz przyszedł go odwiedzić. Major powitał kolegę serdeczniej może jeszcze niż zwykle, ale zamiast prawej lewą podał mu rękę.

— A! więc to prawda co wyczytałem w „Gazecie Krzyżowej"?

— Cóżeś wyczytał, kochany Karolu?

— Żeś się pojedynkował z jakimś Francuzem i żeś został raniony.

— Ciszej! ciszej! w domu nie wiedzą o pojedynku, niby tylko zwichnąłem nieco rękę, bo gdyby żona dowiedziała się, że jestem ranny, chciałaby koniecznie zobaczyć ranę, a wtedy przeraziłaby się niesłychanie. Rana ma 35 centym. długości.

— Jak się to stało, że ty jesteś ranny, ty co tak doskonałym jesteś fechmistrzem?

— Trafiłem na arcymistrza.

— I to jakiś Francuz?

— Tak.

— A wiesz co, kolego, że wielką mam ochotę, zamiast jak zamierzałem udać się jutro na polowanie na dziki, pogonić za tym Francuzem i przynieść ci jedną jego łapę, jako okup za ranę którą ci zadał.

— Daj pokój! przyjacielu, najpewniej skończyłoby się na tem, iż odebrałbyś podobne memu zadraśnięcie, a nie bardzo to miła rzecz; — a potem obecnie Francuz ten jest moim przyjacielem i pragnę aby nim został i dla ciebie.

— O nie! Fryderyku, ten kto ci zadał ranę 35 centymetrów długą, nie może liczyć na moją przyjaźń.

— Mógł zadać mi cios śmiertelny, jednak nie uczynił tego; mógł pozbawić mnie ręki, poprzestał na zadaniu rany. Skończyło się na tem żeśmy się uściskali na polu walki. Czy czytałeś inne szczegóły?

— Jakie?

— Odnoszące się do dwóch jeszcze pojedynków, jednego z panem Jerzym Kleist, drugiego z Franciszkiem Müller.

— Zaledwie rzuciłem na nie okiem, ciebie tylko znając, zajęło mnie tylko to co się odnosiło do ciebie. Jednak przypominam coś sobie, że Francuz

uszkodził szczękę pewnego jegomości pisującego do „Gazety Krzyżowej” i prawie pozbawił życia jakiegoś prostaka, Franciszka Müller'a, z którym stoczył walkę na pięści. Czy założył sobie odbyć próbę wszelkiej broni, że jednego dnia pojedynkował się z oficerem, z dziennikarzem i ze stolarzem?

— Nie on nas tak sobie wybrał, tylko my dopuściliśmy się niedorzeczności wyzywając go. Pojechaliśmy za nim aż do Hanoweru, gdzie siedział sobie spokojnie, a chcąc raz uwolnić się od nas, mnie rozpłatał rękę, panu Kleist zasinił twarz i podbił oko, a Franca Müller'a tak utraktował, że jak nieżywy został na placu. Tym sposobem pozbył nas się odrazu.

— Więc to jakiś herkules i olbrzym zarazem?

— Gdzież tam! ani jedno ani drugie; niższy głową od ciebie, szczupły, ale nadzwyczaj zręczny i zwinny.

— I uściskaliście się na polu walki?

— Tak; a nie dość na tem, zaraz wtedy pewna myśl zrodziła się w mojej głowie.

— Jakaż? Czy Francuz ten pochodzi z dobrej familii?

— Od 89 roku wszyscy oni są sobie równi. Ale ten ma wielki talent...

— Jako fechmistrz?

— Jako artysta malarz. Kaulbach świetną rokuje mu przyszłość.

— W jakim jest wieku?

— Dwadzieścia pięć, a najwięcej dwadzieścia sześć lat. Przytem bardzo przystojny, nawet piękny.

— No! no!

— Dobrze wychowany i mający 12,000 fr. dochodu.

— Wielka mi rzecz!...

— Cóż chcesz, mój drogi, mało kto posiada tak olbrzymi majątek jak ty, i 100,000 reńskich dochodu. Majątek przynoszący 12,000 fr. a przytem tak piękny talent, to można liczyć 12 do 20 tysięcy reńskich rocznego dochodu.

— Ale co cię mogło skłonić do wywiadywania się o to wszystko i wyprowadzania szczegółowych obrachunków.

— Przyszła mi myśl, aby wydać za niego Helenę.

Hrabia zerwał się z krzesła.

— Co za szaleństwo! zawołał; jak mogło ci przyjść do głowy, aby siostrę twej żony wydawać za jakiegoś tam Francuza!...

— Ale wszakże i ona pochodzi z francuzkiej rodziny?

— Cóż ztąd!... Wiem że panna Helena, zawiele ma przywiązania dla ciebie, aby miała zaślubić człowieka który taką zadał ci ranę... Spodziewam się, że nie zgodzi się na to?

— Rzeczywiście nie chce słyszeć o tem.

Hrabia odetchnął.

— Ale zkąd, u szatana! zrodził się w twoim umyśle tak szalony pomysł, aby siostrę swej żony wydawać za pierwszego lepszego awanturnika?

— Zapewniam cię, że nie jest to żaden awanturnik...

— Pal go licho!... Dość że panna Helena nie zgadza się...

— Spodziewam się, że potrafię ją nakłonić...

— Ależ to wyraźna mania!...

— Cóż znowu! powiedz sam czy Helena może mieć jakiś słuszny powód odmowy?

Hrabia mocno się zaczerwienił.

— Chybaby już kochała kogoś... dodał Fryderyk.

— Czyż przypuszczenie to wydaje ci się tak niemożebnem?

— No, nie... ale w takim razie niechże po wie...

— Słuchaj, kochany Fryderyku, przerwał hrabia; nie mogę powiedzieć czy panna Helena kocha kogo, ale mogę cię zapewnić, że jest kochaną.

— W takim razie połowa zadania spełniona, trzeba tylko wiedzieć czy ten co ją kocha, wart mego Francuza?

— Niestety! tak wysoko cenisz tego jakiegoś Francuza, że nie śmiem odpowiedzieć twierdząco.

— Ależ mów, mów proszę; widzisz do czegoby przyjść mogło, gdybym miał tu swego Francuza i związał się jakiemś względem niego przyrzeczeniem.

— A więc dobrze... bądź co bądź przecież nie wzbronisz mi bywać w twoim domu... Ja kocham Helenę!

— Kochany Karolu, jakżeś ty niezrozumiały, prawy i szczery... ale...

— O! żadnych „ale”...

— To „ale” nie jest znów tak straszne; tylko, przyjacielu, tyś zawielki pan dla Helenki.

— Jestem ostatnim z rodu, nikt więc nie postawi mi tego zatrzutu.

— Cóż jest jej marne 60,000 talarów posagu, w porównaniu z magnackim twoim majątkiem!

— Cóż mnie może obchodzić posag!... pragnę tylko wiedzieć czy mnie kocha?

— O tem w tej chwili przekonać się możemy.

— Jakto?

— Każę prosić tu Heleny, rzecz wyjaśni się odrazu.

— Drogi Fryderyku!... ale nie, dodał po chwili blednąc, — może lepiej zaczekać jeszcze...

— Czemu?

— Jeźli mnie nie kocha!...

— Wszak wiesz, że jestem przyjacielem twoim, nie chciałbym więc wystawiać cię na bolesny zawód... Bądź spokojny, jestem przekonany, że możesz być pewny wzajemności...

— Ah! drogi przyjacielu! zawołał hrabia, podnosząc do ust rękę przyjaciela.

— Co ty robisz, Karolu! zawołał major, usuwając rękę.

— Dziękuję za szczęście jakie mi dajesz, odrzekł ze łzami w oczach.

W tejże chwili drzwi otworzyły się cicho i Helena ukazała się na progu.

— Helena! krzyknął Karol.

— Chodźno tu, siostrzyczko, rzekł Fryderyk.

— Ja?... po co?

— Nie pytaj tylko przybliż się, rzekł Fryderyk.

— O zrób pani o co prosi Fryderyk, błagam cię!

Helena zbliżyła się drżąca.

— Teraz podaj rączkę Karolowi.

Dziewczę, drżąc zawsze, spełniła żądanie. Hrabia ujął jej rękę i położył na sercu swojem. Krzyknęła.

Onieśmielony hrabia puścił jej rękę.

— Och! nie gniewam się! wyszeptała Helena.

Prędko pochwycił jej rękę.

— Bracie, rzekł Fryderyk, mówiłeś mi, że chcesz Helenie zwierzyć jakąś tajemnicę — mów śmiało — ja nie słucham.

Karol pochylił się ku Helenie i słodkie urocze słówko „kocham” uleciało z ust jego, jakby ów cichy szmer wiosennego wieczoru, zdający się szeptać nam odwieczne tajemnice przyrody.

— Ah! Fryderyku! Fryderyku! zawołała Helena pochylając głowę, więc nie myliłam się... nie zawiodło mnie przeczucie.

I pozostała tak pochylona nad głową Fryderyka.

— Co robisz, Heleno? zapytał, widząc jak niecierpliwie Karol patrzy na nią pragnąc, aby podniosła głowę, gdyż pragnął złożyć pocałunek na jej czole.

— Odmawiam modlitwę dziękczynną, odpowiedziała; a zwracając się do Karola dodała nieśmiało:

— Ja także kocham ciebie!

— Ah! zawołał, przyciskając do serca narzeczoną; Fryderyku, przyjacielu mój, zaciągnąłem względem ciebie dług niewygasłej wdzięczności.

XVIII.

Babunia.

Fryderyk pozwolił im czas jakiś cieszyć się swojem szczęściem, poczem rzekł do Heleny.

— No teraz, siostrzyczko moja, idź powiedzieć starszej siostrze o tem co tu zaszło, ona z kolei zawiadomi babunię, która przyjdzie zasięgnąć mojej rady, ponieważ pokłada we mnie zupełne zaufanie, i jakoś wszystko się ułoży.

— Czy zaraz mam pójść do Emmy?

— A tak.

— Biegnę! ale zaczekasz tu pan na mnie?

Karol odpowiedział uśmiechem i skinieniem głowy. Helena odleciała jak ptaszek.

— A teraz rozmówmy się z sobą, Karolu! rzekł Fryderyk.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Mam oznajmić ci coś ważnego.

— Czy odnosi się to do mego połączenia się z Heleną?

— Tak.

— Przerażasz mnie, Fryderyku.

— Gdyby tak dziś rano, kiedy nie byłeś jeszcze pewny miłości Heleny, ktoś powiedział ci: „bądź spokojny, Karolu, Helena cię kocha i będzie twoją, ale nieprzeparta przeszkoda nie dopuszcza, aby to mogło nastąpić przed rokiem, cobyś uczynił, Karolu?”

— Cierpiałbym niewymownie nad takiem opóźnieniem, ale uszczęśliwiałaby mnie pewność, ze jestem kochany.

— A więc, przyjacielu, powiem ci to obecnie: Helena cię kocha, wyznała ci to sama, ale niezwalczona przeszkoda nie dozwala wam pobrać się teraz.

— Ale powiedzże mi przynajmniej coto za przeszkoda.

— Powiem ci co dotąd jest jeszcze tajemnicą: za tydzień lub najdalej dwa Prussy wypowiedzą wojnę Austryi.

— A! tego właśnie się obawiałem!... Ten Boesewerk jest złym duchem wiodącym Niemcy do zguby!

— Pojmujesz więc, Karolu, że jako *przyjaciele* tylko, możemy jeszcze służyć w dwóch przeciwnych obozach — podobne wypadki często się zdarzają — ale byłoby to niemożebnem gdybyśmy byli braćmi, niepodobna więc, abyś został *szwagrem* moim właśnie w chwili gdy przyjdzie nam walczyć przeciw sobie

— Czy to już rzecz pewna?

— Najpewniejsza; człowiek ten postawił się w takiem położeniu względem Izb, i króla względem innych monarchów i książąt niemieckich, że

albo trzeba dokonać najstraszniejszego przewrotu od Berlina do Pesztu a nawet do Insbrücku, albo wytoczyć mu proces i do końca życia uwięzić w jakiejś fortecy. Otóż niezaprzeczenie człowiek ten stanowi wielką potęgę, — mniejsza o to złą czy dobrą, czy jeźli chcesz szatańską nawet — ale zawsze potęgę, więc nie wytoczą mu procesu, i dokona strasznego w Niemczech przewrotu, bo z procesu Prussy nicby nie zyskały, a z przewrotu i wywrócenia dotychczasowego w Niemczech porządku, mogą przywłaszczyć sobie parę małych księztw lub królestw.

— Ależ cały związek niemiecki zwróci się przeciw niemu!

— Mało go to obchodzi, on przedewszystkiem pragnie władzy. Zresztą, wierzaj mi, Prussy nie potrzebują się obawiać nieprzyjaciół — im więcej ich będzie tem więcej odniosą zwycięztw — armia nasza jest obecnie tak uorganizowana jak żadna w Europie.

— Mówisz „nasza”, czy więc zostałeś teraz Prusakiem? sądziłem że jesteś Niemcem?

— Jestem Niemcem ze Szlązka, Prusakiem od czasu wstąpienia na tron króla Wilhelma; wszystko mu jestem winien, i choć ubolewam bardzo, iż został przedstawicielem złej sprawy, jednak w każdej chwili gotów jestem życie poświęcić dla niego.

— Jakąż mnie dajesz radę?

— Ty jako Styryjczyk, jesteś Austryakiem; więc powinieneś bić się za cesarza austryackiego. Jeźli przypadkiem spotkamy się podczas bitwy, pozdrowimy się szpadami, poczem jeden zwróci się na prawo, a drugi na lewo. Nie daj się tylko zabić, a w dzień zawarcia pokoju podpiszemy wasz akt ślubu.

— Niestety! sam widzę, że nic innego nie pozostaje mi, chyba gdyby się nam tak szczęśliwie udało żeby nas pozostawiono w Frankfurcie, jako w mieście wolnem i neutralnem. Przyznaję, że czuję pewien wstręt do tej wojny, oburza mnie sama myśl, że mam się bić z Niemcami. Niechby to była wojna z Turcyą, z Francyą, z Rossyą, z kimkolwiek zresztą — ale bić się z dziećmi jednej ziemi, jednym mówiącymi językiem — ta walka bratobójcza, wcale mnie nie nęci.

— Nie łudź się nawet tą nadzieją, kochany Karolu, że nas zostawią w Frankfurcie. Przywiozłem właśnie jenerałowi pruskiemu rozkaz, aby był gotów do wymarszu. Jak tylko Prussy wycofają swój garnizon, Austrya uczyni toż samo. Do Frankfurtu wejdzie wojsko bawarskie lub nawet pozostanie tylko batalion miejscowy, ale najniezawodniej my wszyscy będziemy powołani do armii czynnej.

— Biedna ukochana Helena! cóż jej powiemy jak powróci?

— Powiemy, że pobierzecie się stanowczo, że wedle zwyczaju zaraz zostaniecie zaręczeni, ale że ślub nastąpi dopiero za rok. Jeźli, wbrew przewidywaniom moim, unikniemy wojny, ślub wasz nastąpi niezwłocznie; jeźli zaś wybuchnie, zdaje się nie będzie trwać długo, bo podobna wojna to jak wściekły uragan, niszczy wszystko w przechodzie, ale prędko mija — naznaczam więc rok dla tego tylko aby nie trzeba było przedłużać terminu. Helena ma lat ośmnaście, będzie mieć dziewiętnaście, ty dwadzieścia siedm — możecie więc poczekać, zwłaszcza gdy okoliczności zmuszają.

— Ale dajesz mi słowo, że co bądź wyniknie nigdy nie zmienisz się dla mnie, i że od dziś jestem twoim szwagrem *na słowo*.

— Zanadto tego pragnę i zanadto cię cenię, obym mógł zmienić zdanie; tak więc od dziś, 12 czerwca, jestem szwagrem twoim *na słowo*.

— Pani von Beling.

Słowa te wypowiedział Karol, zobaczywszy wchodzącą sędziwą damę, zupełnie czarno ubraną. Włosy jej były białe jak śnieg. Znać było, że musiała kiedyś być bardzo piękna; obecnie cała jej osoba tchnęła niewysłowioną dobrocią i dystynkcyą.

— Więc powróciłeś, kochany Fryderyku, rzekła wchodząc, i to o piątej rano, a ja dopiero o drugiej popołudniu dowiaduję się o tem od twojej żony, z dodatkiem, że wracasz mocno cierpiący.

— Babuniu kochana, odrzekł Fryderyk, wszak wiadomo mi, że budzisz się o jedenastej a wstajesz w południe — nie chciałem ci snu przerywać.

— Tak, ale stłukłeś i zwichnąłeś rękę, a mam na to aż trzy wyborne lekarstwa, a szczególniej jedno które mi wskazał stary mój przyjaciel, Goethe; drugie pochodzi od dawnej przyjaciółki mojej, pani Schroeder, a trzecie od barona von Humboldt. Widzisz więc, że wszystkie z dobrego pochodzą źródła.

(D. c. n.)

WYSTAWA W PAŁACU BRÜHLOWSKIM.

(Dokończenie).

P. Olimpia Suchowiecka, przedstawicielka zakładu naukowo-rzemieślniczego, przedstawiła koronki, serwetki siatkowe, prześlicznie poszyte, roboty swoich uczennic. Pani Helena Gabriel, kilka rodzai koronek, barbki ładnie wykończone od 6 do 12 rs.; chusteczki od nosa 7 do 10 rs. Końce do krawatek od rs. 1 do rs. 1 kop. 50. Odnośnie do rodzaju i wykończenia koronek, ceny te są dość nizkie. P. G. w założonej przez siebie szkole koronkarskiej udziela nauki bezpłatnie; obecnie pobiera ją 38 uczenic.

W tejże sali p. Poświk Bronisława przedstawiła koronki własnej roboty. Patrząc na wszystkie te delikatne i tak często wzroku pozbawiające wyroby, pomyśleliśmy o nowo wynalezionej w Paryżu maszynie, która zastąpi pracownice i podobno więcej niż sto na sto obniży ceny.

T. Werner i S-ka, z Warszawy, wystawił serwisy stołowe, galanterye, przedmioty kościelne srebrne, w części emaliowane. Jest to dawniejsza fabryka Malcza, która była jedną z najpierwszych u nas; obecni właściciele wstępują w jej ślady, wyroby ich odznaczają się wykończeniem i gustem. Roczny obrót 100,000 rs.; fabryka zatrudnia około 50 robotników.

W tejże sali Norblin i S-ka wystawili serwisy i sztućce stołowe, przedmioty kościelne, galanteryę, posrebrzane i złocone galwanicznie. Fabryka wyrobów t. z. platerowanych, zatrudnia około 300 robotników samych krajowców, a po za fabryką 60 kobiet; obrót jej roczny 300,000 rs.

Bracia Heneberg z Warszawy, wyroby platerowane, z nowego srebra. Wyroby te przedstawiają tę korzyść, iż choć przez użycie zetrze się posrebrzanie, nie przeglądają czarne kąty. Fabryka zatrudnia 120 robotników samych krajowców i 40 kobiet po za fabryką. Obrót roczny wynosi około 150,000 rs. Wyroby odznaczają się ładnym rysunkiem i wykończeniem.

Fabryka pana Fraget wystawiła zastawę stołową, kandelabry, samowar z wszelkiemi przyborami i serwis, wszystko z nowego srebra, galwanicznie posrebrzane. Fabryka ta wyrobów platerowanych i z nowego srebra jakoteż wyrobów srebrnych, zajmuje 300 robotników mężczyzn, z tych zaledwie 3 proc. specyalistów Francuzów, oraz 100 kobiet polerowniczek, pracujących po za fabryką. Obrót roczny około 400,000 rs.; stara to firma i głośnej używa renomy. Posiada też kilka przyznanych sobie złotych, srebrnych i bronzowych medali.

P. Konstanty Beniamin przedsiawił najrozmaitsze fantazyjne wyroby wełniane i nawpół z jedwabiem. Widzimy tu piękne chustki włóczkowe przerabiane jedwabiem, mohair *velour-sharol*, puchowe chustki dolmanowe, talmy, pelerynki, okrycia damskie, kaftaniki, ubiorki dziecinne, wszystko wyrabiane w najrozmaitsze desenie, odznaczające się oryginalnością i dobrym gustem, a co najważniejsze i taniością.

B. Petsch z Warszawy, przedstawił aparaty telegraficzne i przyrządy dzwonkowe dla dróg żelaznych, przerywające niekiedy ciszę wystawy.

PP. Kerntopf i syn, wystawili fortepian i pianino. Fortepian tem się odznacza, że ma struny krzyżowane z rezonansem wiszącym, wskutek czego deka rezonansowa jednakowo parta jest przez struny na dół i do góry, co go zabezpiecza od zapadnięcia się deki rezonansowej, czy to przez czas czy skutkiem wilgoci.

Łódź przedstawia tylko jeden p. Maks Wilczyński, który wystawił bardzo ładne serwety i kapy gobelinowe. Wyroby tej fabryki otrzymały list pochwalny na wystawie tkackiej w Warszawie 1880 r.

Sala K. Cybulski Kaźmierz z Chmielowa, naczynia porcelanowe, kamienne, fajans artystyczny i cegła ogniotrwała. W wystawie przedstawione są znane z trwałości naczynia kamienne, przedmioty różne z porcelany i ozdobne okazy majolikowe, które od niedawna zaczęto wyrabiać w fabryce. Jest to jedyna u nas fabryka naczyń kamiennych z polewą ziemną, nieczułą na kwasy, przez co wyroby są daleko trwalsze od naczyń z polewą solną. Fabryka ta założona została przez br. Małachowskiego w 1812 roku; początkowo wyrabiała tylko doskonały fajans, zaś porcelanę i naczynia kamienne wyrabia dopiero od 1840 roku. Ceny przystępnne, a niektóre szczególniej okazy bardzo gustowne. Fabryka odznaczona została srebrnemi i bronzowemi medalami w Petersburgu, w Wiedniu, Paryżu i Filadelfii.

Moczarskiego Gustawa dobrze się przedstawia obuwie damskie i męzkie.

Sala L. Tu głównie zwróciły uwagę naszą rysunki techniczne młodzieży rzemieślniczej, pracującej w różnych fabrykach i warsztatach, a kształcącej się w szkole rysunkowej bezpłatnej, urządzonej przez Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. Jakieżto uznanie należy się nauczycielom za postęp do jakiego doszli ich uczniowie! W połowie 1878 r. Muzeum Prze. i Roln. otworzyło w gmachu swoim jedną salę dla kopiowania z modeli i wzorów posiadanych w Muzeum, aby przyjść w pomoc młodzieży pracującej po fabrykach i warsztatach. Gdy liczba zgłaszających się znacznie wzrosła, otworzono jedną jeszcze salę i tak powstały dwa oddziały. W rok później zaczęło zgłaszać się wiele kobiet z prośbą, aby i one mogły pobierać naukę, wskutek czego otwarto trzecią salę dla kobiet do kopiowania z gipsów modeli i ornamentów. Sala ta podzielona jest na dwa oddziały; kandydatki pobierają naukę trzy razy na tydzień, wieczo-

rem, po dwie godziny, inne dla kobiet, inne dla mężczyzn. Przybywający na naukę mężczyźni i kobiety, zwykle bardzo słabe mają wyobrażenie o rysunku, jednakże dzięki gorliwości nauczycieli, w krótkim czasie tak znaczne poczynili postępy. Nauka bezpłatna.

Dalej rozwieszono tu na ścianach mnóstwo rysunków technicznych i planów roboty uczniów specyalnego i przygotowawczego oddziału Szkoły Technicznej drogi żelaznej Warszawsko Wiedeńskiej i Warszawsko Bydgoskiej. Wszystkie wykończone bardzo starannie, linie pewne i równe, zaokrąglenia wprawne; co tem więcej zadziwia, iż jak świadczą podpisy, są to roboty uczni jedno i dwurocznych. Takie szkoły to dźwignia naszego przemysłu, a ich uczniowie to armia przyszłości, co rozrzucona po kraju coraz więcej tamować będzie przystęp do niego obcym wyzyskiwaczom. Oprócz rysunków przedstawiono roboty rzemieślnicze i modele różnych maszyn, śliczny model wagonu towarowego i wiele innych wyrobów wykonanych przez uczni.

K. Plage wystawił wyroby galanteryjno-tokarskie z kości, rogu, szyldkretu, massy perłowej, celuloidu, drzewa i metalu. Jest to pierwszy u nas zakład tego rodzaju, istnieje dopiero od roku i z krajowców kształci sobie robotników. Przedstawione okazy odznaczają się gustem i przystępną ceną.

Z fabryk papieru jedna tylko fabryka Mirków przedstawiła swe wyroby, różne gatunki papieru, od najmniejszych do największych formatów. Obok niej wznosi się piramidalny kiosk z różnokolorowemi papierami p. Behaghla. Jest to jedyna u nas parowa fabryka papieru kolorowego; wyrabia go we wszystkich gatunkach i kolorach, aż do 2,500 odmian, a produkując z materyału krajowego, gdyż nawet farby po większej części w swojem laboratoryum wyrabia, kładzie tamę przywozowi zagranicznemu.

W oddzielnej oszklonej szafce ładne papiery z monogramami A. Szustra. Dalej Olsztyński i Moryc, atrament w różnych kolorach i tusz do pieczątek. Kadisohn, atrament i laki najrozmaitszych kolorów.

Gerlach, instrumenta optyczno-matematyczne, miernicze i rysunkowe. Chwat dr. narzędzia chirurgiczne.

Sala M. Warszawska fabryka wyrobów rogowych angielsko-francuzkich, wystawiła grzebienie i wyroby rogowe. Ze względu, że przemysł ten ma choć w części wyrugować przemysł zagraniczny, i że na czele fabryki stoją siły krajowe, zasługuje więc na zaznaczenie. Jest pierwszą i jedyną dotąd u nas, istnieje dopiero od lat dwóch, a już zatrudnia około 100 robotników i wyrabia rocznie 75,000 grzebieni, a prócz tego wiele rozmaitych wyrobów rogowych.

Wystawa obecna nie może dać zupełnego wyobrażenia o stanie i postępie naszego przemysłu, ponieważ bardzo wiele jego gałęzi całkiem nie jest przedstawionych, że nietylko nie jest ogólna, ale nawet z okazów mających być wysłanemi na wystawę moskiewską, część tylko jest przedstawioną. Zaznaczyć przecież trzeba tę pocieszającą okoliczność, iż na 130 kilku wystawców przedstawiających 40 specyalności, widzimy 20 nowych rodzai produkcyi i wiele bardzo firm dotąt nieznanych które przecież wystąpiły bardzo pokaźnie, co budzi uzasadnione zadowolnienie, iż coraz mniej pieniędzy naszych wychodzić będzie za granicę, i coraz więcej kapitałów zachęconych korzyściami jakie zapewnia przemysł, nie będzie butwiéć w szkatułach swych posiadaczy.

Ogólna wdzięczność należy się komitetowi Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, że niezrażony trudnościami i przykrościami z jakiemi każdorazowo walczyć musi, stara się zapoznawać nas choć z częściowemi działami naszego przemysłu; ogólne uznanie wystawcom którzy przedstawiając wyroby swoje, dali dowód, że są nietylko przemysłowcami ale obywatelami kraju i dbają o sąd jego i dobre słowo.

Dane statystyczne podane w tym artykule, czerpiemy z katalogu bardzo pracowicie ułożonego przez pana Augusta Egera, wydawcę i redaktora „Ekonomisty", bez tego katalogu, chyba nie tylko my ale i żaden sprawozdawca nie dałby sobie rady.

+

PRZEGLĄD BELLETRYSTYCZNY.

Pod skrzydłami almae matris. — Kasia i Marynka, Gabryelli. — Grzechy Hetmańskie, Kraszewskiego. — Romans pana Michała, Zacharyasiewicza. — Wspomnienia obywatela, przez autora „Kłopotów starego komendanta". — Bicz korali, Walerego Przyborowskiego.

(Dalszy ciąg).

Być może iż w krajach, gdzie jak w Ameryce jest wielka liczba szkół mieszanych, gdzie dzieci przyzwyczajają się wzajem do siebie od lat najmłodszych, stosunki uniwersyteckie pomiędzy dwoma płciami są normalniejsze. W Europie jednak, wobec naszego systematu wychowawczego, studenci muszą albo zalecać się studentkom albo im dokuczać, jak to przedstawia doskonale bezimienny autor o którym mówimy. Koleżeński zaś, przyjazny stosunek połączony z pewną grzecznością dla płci słabszej, jest mrzonką którą zrealizować może kilka wyjątkowych indywidualności, ale której żądać od ogółu byłoby prawdziwą niedorzecznością. Co więcej podobny stosunek będzie zawsze służył za płaszczyk miłosnych zabiegów szczególniej też dopóki kobiety na uniwersytetach pokazywać się będą jako nadzwyczajne zjawisko, a nawet i wówczas gdyby fakt ten stał się zupełnie normalnym, gdyż to już leży w właściwościach ludzkiej natury a uniwersytet nie wynaturza ludzi ani może zostawać pod wyjątkowemi prawami.

Nie wchodzi tu bynajmniej w mój zakres rozbierać kwestyą czy, i o ile studya uniwersyteckie są dla kobiety właściwe lub też jakieby ztąd płynęły korzyści i niedobory społeczne, gdyż kwestya ta jest zupełnie odrębną od literackiej oceny powieści, powieści zaś zajmują się głównie faktem psychicznym, łatwym bardzo do zrozumienia, i trudnościami praktycznemi jakim kobiety w podobnym razie podlegać muszą. Dlategoto ważąc się na to trudne położenie powinny się one na nie przygotować pod dwoma względami, gruntowną nauką któraby pozwalała im rozumieć wykłady bez uciekania się do cudzej pomocy, i wyrobieniem charakteru, któreby wskazało im w każdym wypadku właściwy sposób postępowania.

Tego przygotowania Zofia nie posiadała wcale, a co gorsza nie domyślała się nawet że go potrzebuje. Z tego niezrozumienia swego położenia i jego trudności płyną w następstwie wszystkie jej nieszczęścia. Zarozumiała, exaltowana i nie dojrzała pod każdym względem, podaje tysiączne powody do obmowy i o mało nie pada ofiarą przebiegłego łotra Mondenberga, który drwiąc w głębi ducha z nauki kobiecej, schlebia jej miłości własnej i pomaga do zrozumienia trudnych wykładów.

Trzeba też przyznać że autor scharakteryzował złośliwie ale nader trafnie niedokładne pojęcia naukowe wiele kobiet w osobie Zofii; być może iż w studentce uniwersytetu pojęcia te są rażące ale ponieważ Zofia wchodząc do uniwersytetu nie zdawała żadnego egzaminu, dziwić się niemożna jeźli odzywa się z pojęciami jakie ze sobą przywiozła.

O ile Zofia nieczułą była w kraju na zabiegi młodych ludzi, o tyle w Zurychu okazuje się ku nim skłonną do zbytku. Prawda iż spotyka tutaj typ zacnego i rozumnego człowieka w Sybirackim, który od pierwszego spojrzenia czyni na niej wielkie wrażenie, pomimo iż bez ceremonii ściera jej niedowarzone dowodzenia na każdym punkcie.

Sybiracki jednak jest żonaty, jest ojcem dwojga dzieci, i jeźli zwraca uwagę na Zofię, czyni to jedynie ażeby ją ostrzedz o trudnościach i niebezpieczeństwach zawodu, jaki lekkomyślnie obiera, później zaś zrozumiawszy jej skłonność, odsuwa się na bok, nie tyle jednak, by w każdej niebezpiecznej chwili nie znalazła go koło siebie.

Podobno też w późniejszym stosunku Zofii z Mondenbergiem najwięcej działa obrażona miłość własna nierozważnej dziewczyny, która słuchając miodowych słówek Niemca pragnie zagłuszyć własne serce i pokazać zarazem Sybirackiemu że o niego nie dba.

Możnaby jeszcze zarzucić autorowi że Mondenberga przedstawił w zbyt czarnych kolorach, niepotrzeba bowiem wcale być tchórzem i złodziejem ażeby starać się uwieść ładną pannę, samowolną, bez opieki, i do tego chodzącą na kursa medyczny, któreto fakta dowodzą zawsze pewnego wyzwolenia się z pod władzy panujących idei. Prawdę mówiąc niebezpieczeństwo byłoby większe, gdyby Mondenberg nie był tak zupełnie upodlony i wyleczenie Zofii trudniejsze, i zatem wymagałoby to subtelniejszej analizy psychicznej. Nie mamy jednak prawa narzucać autorowi naszych poglądów i idei i musimy poprzestać na tem co uczynił. A skoro podobało mu się takim uczynić Mondenberga, trzeba przyznać że cały stosunek przeprowadzony jest bardzo naturalnie.

Cnotliwe oburzenie pani B., która zastawszy asystenta chemii klęczącego przed Zofią wypędza ją haniebnie ze swego domu, ułatwia z pozoru Mondenbergowi jego zadanie. Ale trafia on na uczciwą naturę, Zofia oburzona niesłusznem podejrzeniem, w braku szacunku świata, postanowiła własny przynajmniej zachować, i to staje się jej obroną.

Kiedy później przychodzi do tłomaczenia a Sybiracki usprawiedliwia się z posądzeń jakie wraz z panią B. żywił przeciwko młodej studentce mówi: „Zapomniałem żeś Polka i że przez polską matkę wychowaną byłaś." Powód to piękny, chociaż nie zawsze narodowość strzeże od upadku. Tembardziej też dziwić się wypada że Sybiracki ożenił się ze Szwajcarką i dzieciom swoim odjął tę tarczę obronną i to błogosławieństwo w przyszłości.

Należało mu raczej wytłomaczyć Zofii że położenie jej nadawało się do posądzeń wszelkiego rodzaju, wzbudzanych zawsze przez tych którzy łamią przyjęty obyczaj, i że takie położenie nakazuje stokroć większą ogledność i powściągliwość w postępowaniu niż każde inne. Podobne dowodzenie byłoby o wiele racyonalniejsze i właściwsze w ustach Sybirackiego, niż ów sentymentalny wykrzyknik któremu kłam zadał własnem ożenieniem.

Teraz narzuca się pytanie niejednokrotnie sta-

wiane z powodu powieści, czy autor jest stanowczo przeciwnym wyższym studyom kobiecym skoro bohaterkę swoją po roku niespełna nauki odsyła do domu?

Wprawdzie gdyby nawet ten sens wypływał z powieści *Pod skrzydłami almae matris*, dowodziłoby to jedynie osobistego zdania autora, które może za pomocą stosownie dobranych faktów starać się przelać w czytelników, ale które innego znaczenia nad zdanie osobiste mieć nie może.

Opierając się jednak nawet na dokumentach powieściowych, nie możemy podobnego wniosku wyprowadzać, przeciwnie, autor widocznie zastrzegał się przeciw niemu figurą panny Nögelin, powszechnie szanowanej lekarki, która acz małą ale bardzo sympatyczną kartę zajmuje w jego utworze. Pokazał tylko niebezpieczeństwa i trudności czyhające zaraz w początkach zawodu na młode, nierozważne dziewczęta, które podniesione jednostronnemi dowodzeniami rzucają się na przedsięwzięcie trudne, nie będąc nawet zdolne ocenić ich należycie.

Zdaje mi się jednak, że takich jest bardzo niewiele, że w zupełnie innem niż zamożnym szlacheckim świecie rekrutują się kobiety szukające twardej naukowej drogi. Dlatego to piękny obraz domowego szczęścia pani Syberackiej, nie może być dostatecznym powodem odwiedzenia kobiet od innego powołania, bo pamiętać należy na cyfry statystyczne, ktore coraz zwiększającą się liczbę kobiet średniego stanu odsądzają od podobnego szczęścia i skazują na samotną dolę. Zosia w tym względzie stanowi wyjątek; doniej spokojne, dostatnie życie uśmiechało się wszystkiemi łatwemi powabami, jest ona więc wyjątkiem w Zurychu, ale też właśnie dlatego że jest wyjątkiem, nie może przykładem swoim wpływać na ogół, który głównie szuka sobie wówczas dopiero samodzielnego celu w życiu, kiedy widzi słabą nadzieję osiągnięcia zwykłej doli niewieściej.

Z tego wyboru bohaterki możnaby poprzednio autorowi postawić poważny zarzut, iż w całej kwestyi pracy i wyższego naukowego rozwoju kobiety chciał widzieć nienowy zwrot wyrobiony głębokiemi przemianami ekonomicznemi, na tle którego mogły się wyrobić przesady i śmieszności, ale same tylko te ostanie, czyli że z realnej i bolesnej kwestyi dojrzał jedynie chorobliwą jej stronę.

Wybór jednak bohaterki tendencyjnej powieści, a nawet sentymentalne zakończenie jej nawróceniem tejże bohaterki przez widoki domowego szczęścia, nie daje dostatecznego prawa wyrokowania o poglądach i horyzontach malarza. A to tembardziej że trzyma się on zawsze realnego gruntu. Nikt więc zaprzeczyć nie może iż los żony dzielnego i rozumnego człowieka, jakim jest Sybiracki, należy do szczęśliwych losów, tylko w smutnej loteryi życia niekażdemu przypada on w udziale i to znacznie zmniejsza doniosłość tej społecznej lekcyi.

Zresztą jakkolwiek tendencyjna powieść *Pod skrzydłami almae matris* opiera się na psychicznych czynnikach, na prawdzie sytuacyi i charakterów, jednak wypływa z nich pełno dowodzeń i prawd o których autor nie myślał lub też nawet takich, które przemawiają wbrew jego tendencyi.

I tak jakkolwiek Zosia smutnie wyszła na studyach medycznych, odniosła z nich przecież tę korzyść że dotknęła się rzeczywistości, nauczyła własnem doświadczeniem sądzić rzeczy i ludzi nie według pozorów ale wedle rzeczywistej wartości.

Zosia jako ładna i samowolna jedynaczka, mogła zrobić najgorszy wybór małżonka i dostać się takiemu Mondenbergowi, którzy znajdują się we wszystkich społeczeństwach, gdy tymczasem Zosia przeszedłszy tę ciężką próbę, z pewnością będzie w wyborze swoim rozważną, a tym sposobem wychodzi na jaw prawda że poczucie realnych warunków życia jest zawsze korzystnem.

W każdym razie czekamy niecierpliwie na to co nam przyniosą dalsze prace autora, bo sądząc po tej pierwszej, powinien zająć swoje miejsce pomiędzy nielicznym zastępem naszych powieściopisarzy. Posiada ku temu pierwszorzędne zalety: bystrą obserwacyą, wyborną charakterystykę opisywanych przez siebie postaci, styl łatwy, dyalog żywy i świetne obrazowanie, a jeźli czasem *Pod skrzydłami almae matris* grzeszy rozwlekłością jak np. cały stosunek z Mondenbergiem, jeźli zbyt wiele miejsca zajmują opisy natury, które niepotrzebnemi szczegółami przeciążają opowiadanie, jeźli parę karykatur jak np. małżonków Dudowskich wtrąconych jest do niej zupełnie niepotrzebnie, są to wszystko drobne usterki w porównaniu z wielkiemi zaletami tej pierwszej powieści, i zapewne sam autor ustrzegłby się ich w następnych, zwłaszcza też gdyby podała mu pióro do ręki czysta obserwacya a nie tendencyjna polemika.

Jakże bowiem inaczej wyglądają wszystkie promblemata społeczne, kiedy dotyka ich się beznamiętnie ręka, kiedy sumienie waży pro i contra każdego zagadnienia, nietrzymając w zapasie jakiejbądź formuły mającej służyć do ruchomego jej roztrzygnięcia.

Ot np. przesuwają się niemal wszystkie przed oczyma naszemi w Kasi i Marynce. Co stanowi szczęście? jaka przyszłość najlepsza? małżeństwo z miłości czy z rozsądku? życie wedle normy przyjętej czy wedle własnych poczuć? rozwój umysłu czy pokorne poddanie się zwyczajom?

Wszystkie te zagadnienia na szczupłej liczbie kart Kasi i Marynki z prawdziwem mistrzostwem porusza autorka.

Prawda że ta autorka to mistrz nielada, to jeden z największych a bogdaj czy nie największy talent jaki kraj nasz posiadał.

Dość wymienić tutaj Gabryellę.

Kasia i Marynka to jej pośmiertna spuścizna.

Jak wiele utworów Gabryelli, nie jest to właściwie powieść, ale luźna forma pamiętników, listów, rozumowań zebranych około jednego z najważniejszych społecznych zagadnień, jakiem jest położenie i wychowanie kobiety. Zagadnienie to jednak nie jest osamotnione, bo w niem jak w każdem innem rozpatrywanem wszechstronnie, grupuje się i skupia mnóstwo zagadnień innych.

Kasia i Marynka wspólnego z powieścią ma tylko galeryę figur rozmaitych, figury te przecież wyglądają czysto subjektywnie i pokazują nam jedynie swoje kształty odbite w wyobraźni autorki, nie możemy sami sobie o nich wyrobić sądu tak jak nam jest jej sąd narzucony.

(D. c. n.)

RUCH LITERACKO-ARTYSTYCZNY.

Przed nami leży tomik poezyi p. *Maryi Konopnickiej*. W naszym okrzyczanym materyalnym wieku, poezya, to kwiat egzotyczny, tak mówią jedni, to echa dawnego nastroju, wołają drudzy — otóż ani jedno, ani drugie — poezya żyje i tak silnie jest spojona z naszym ruchem umysłowym, że nie ma dziennika, nie ma inteligentnego człowieka, któryby nie brał udziału za lub przeciw poezyom p. Konopnickiej.

W „Gazecie Polskiej“ piorunuje Litwos, śmiało wstępuje w szranki p. Orzeszkowa, grzmi redakcya „Przeglądu Katolickiego”, walczą podjazdem „Kuryerki” i „Echa”—jednem słowem robi się „huczek niemały” o poezyą. Zaledwie trochę się uciszyło, jest trzeci tom Asnyka, znów krzyki, rozbiory, krytyka i znów przyczyną poezya!

A ten nowy tomik p. Konopnickiej, zebrany z poezyi drukowanych w różnych czasopismach, ileż tam serdecznego uczucia, szczerej jak złoto poezyi.

Spotykamy tam poezye opisowe, pisane pod wpływem widoków górskich, dalej idą luźne poezye i obrazki. Z całej tej wiązanki są naszem zdaniem najpiękniejsze obrazki, wywołane faktami z życia naszego społeczeństwa; taki „Wolny najmita”, „Przed sądem”, lub też piękny wiersz „Do kobiety”, tłómaczący to zawsze czarodziejskie słowo „kocham” — odznaczają się głębszą myślą i widać, że poetka trzyma rękę na pulsie naszego życia społecznego i towarzyskiego.

Deotyma w jednym ze swych wierszy mówi: „Poezya to muzyka ludzi — muzyka to słowo duchów”, wiec będąc tak blizko muzyki, trudno o niej przemilczeć, zwłaszcza, że po dłuższej przerwie, cała Warszawa zapragnęła muzyki i wesołych tonów. Po nad wszystkiemi objawami muzycznemi góruje w tej chwili p. Zygmunt Noskowski, dyrektor Tow. Muzycznego i orkiestry grywającej w Dolinie Szwajcarskiej. Oparłszy się przeważnie na siłach miejscowych, ku wielkiemu zadowolnieniu publiczności zawładnął estradą koncertową i pracą, starannością, zdobywając uznanie, coraz większe ściąga tłumy słuchaczy. Własne jego kompozycye to jakby tony wyjęte z naszego serca, znać w nich mistrza który wsłuchany w pieśń narodu, na tle jej przemawia jako poeta z naszej wyrosły ziemi.

W Teatrze Letnim hucznemi oklaskami witają melomani p. Zakrzewskiego tenora i p. K. Morzkowską. Pierwszy przybył z Kijowa i jest gościem Warszawy, która napróżno upominała się u dawniejszej dyrekcyi teatralnej o zaangażowanie tego sympatycznego, o skali nader rozległej śpiewaka. Być może, że nowa dyrekcya łaskawszą będzie i uwzględni życzenia ogółu, który płacąc słono za miejsca teatralne chciałby też posłyszéć lepszych śpiewaków. P. K. Morzkowska wkrótce opuści scenę teatralną zupełnie: — ostatni jej pobyt we Lwowie wpłynął nader korzystnie: artystka nabrała pewności tak w śpiewie jak też i w subtelnem cieniowaniu dramatycznej akcyi.

Na scenie Teatru Rozmaitości spotkaliśmy się po raz pierwszy z dramatem Okońskiego „Helvia”, jest to obrazek z czasów tryumfu Cezara, zwycięzkiego zdobywcy Galii. Młoda Helvia, (panna Deryng) córka rodu republikańskiego zapałała miłością ku Cezarowi; zrywa dotychczasowy związek z Liciniusem (p. Kotarbińskim), nie zważa na słowa matki (p. Rakiewiczowa) i rady brata Scipiona (p. Prażmowski), lecz z namiętnością córki Południa oddaje się miłości. Najgłówniejszą zaletą dramatu jest znakomita charakterystyka uczucia, stopniowy jego rozwój i rozczarowanie, oddane pysznym językiem i dyalogowaniem. Gra artystów była wogóle dobrą, chociaż możnaby zarzucić pannie Deryng nienaturalność w pierwszéj fazie, gdy spowiada się z uczucia, a p. Kotarbińskiemu stąpanie na koturnach, rażące w sytuacyi końcowej, skreślonej przez autora z wielkim realizmem.

W Małym Teatrze odegrano: „Trzy Flory” p.

Samulińskiej przywiezione aż z Ameryki. Czy zasługiwały na to? Niech odpowiedzą puste krzesła i galerya. Jestto farsa, skrajana według szablonu niemieckiego, jak świadczy cały układ scen i zawikłania. Dziwi to nas, że komitet wybrany z naszych arystarchów mniej lub więcej uznanych przyjął tę sztukę i uznał godną sceny warszawskiej, gdy nawet w ogródkowych teatrzykach niezdołała się utrzymać.

Trzy przybytki sztuk pięknych: Towarzystwa, Ungra i Krywulta, każdy z nich może się poszczycić mniej lub więcej licznemi, ale zawsze pokaźnemi obrazami naszych malarzy, z pomiędzy których mistrz Matejko i szkoła krakowska góruje. Portrety są u p. Krywulta reprezentowane przez Matejkę i W. Kossaka; o pierwszym dość powiedzieć, że przypomina tak kolorytem jak i charakterystyką najświetniejsze czasy mistrza Jana, traktowanie ciała i martwej natury jest tak znakomitem, że chyba wołać należy: patrzcie młodzi artyści i uczcie się. W portrecie p. Zyblikiewicza, pędzla Wojciecha Kossaka, znać postęp wielki w technice, nie możemy jednak powiedzieć, by karnacya twarzy i uchwycenie rysów należało do szczęśliwych. Wyczółkowski powtórzył swą dawniejszą kreacyę „Marynę Mniszchównę" w mniejszym formacie. Nie znamy przyczyn, które skłoniły tego młodego malarza do powtórzenia się, lecz że to nie jest oznaką postępu wogóle i wskazuje na zaniedbanie się, to musimy z przykrością zaznaczyć. W salonie pana Ungra spotykamy szkic Matejki p. t. „Hołd pruski", illustrujący chwilę, gdy siostrzeniec Zygmunta I-go Albert złamawszy przysięgi zakonne, składa hołd królowi polskiemu, biorąc Prusy w lenno. Na szkicu zarysowują się wyraźnie tylko postacie Zygmunta i Alberta; jaką będzie całość, trudno odgadnąć. P. Motty przedstawił illustracye do naszych podań i legend; są to rysunki kartonowane których traktowanie przypomina Dorégo, lecz mamy nadzieję, że młody artysta pozbędzie się tego naśladownictwa i wstąpi w ślady Grottgera, który umiał swym kreacyom nadać piętno samodzielności.

W dziedzinie rzeźby mamy do zanotowania dwie bardzo udatne grupy p. Kurzawy: Mazur i Polonez, zwłaszcza pierwsza grupa przedstawiająca dziarskiego parobczaka z wiejską dziewuchą, tętni prawdą i życiem. W salonie Towarzystwa jest grupa kuta w białym marmurze „Tarpeja" dłuta artysty-rzeźbiarza Karola Klossa, nagle zmarłego 29 maja b. r. Śmierć tak młodego, bo zaledwie 32 lat liczącego artysty, przyniosła wielką szkodę naszemu dopiero rozkwitającemu rzeźbiarstwu, które nie może się poszczycić tak znaczną liczbą dzielnych pracowników jak malarstwo. Ostatnia praca zmarłego artysty, przeznaczona na wystawę Moskiewską, przedstawia młodą Rzymiankę skazaną na śmierć. Miękkość ciała kobiety, jej przerażenie manifestujące się nietylko na twarzy, lecz również postawą ciała, a z drugiej strony olbrzymia siła muskularnego wykonawcy wyroku, czynią tę grupę prawdziwem arcydziełem sztuki.

Nie chciałbym jednakowoż kończyć to sprawozdanie smutnem echem dzwonów pogrzebowych, więc pozwólcie łaskawe Czytelniczki zanotować tu jeszcze dwa objawy naszego życia. Oto p. Aleksander Głowacki (Bolesław Prus) powziął myśl założenia kasy pożyczkowej dla rzemieślników i już ostatnich dni czerwca „Kuryer Warszawski" wykazał pokaźną sumę zebraną w drodze składek, bo wynoszącą około 12,000 rubli. Snać myśl rzucona należy do tych, które tkwią w głębi serca tysiąca ludzi i odpowiadają potrzebie bieżącej chwili.

Drugi fakt jest tylko spełnieniem obowiązku narodowego — jestto składka na pomnik Mickiewicza. P. Jadwiga Łuszczewska (Deotyma) uzyskawszy pozwolenie względnie w krótkim przeciągu czasu zebrała 4,011 rubli 58 kop. i jeśli w Galicyi i Poznańskiem tak świetnie powiodą się składki, w takim razie wkrótce uiszczą się nasze pragnienia i pomnik nieśmiertelnego Adama ozdobi gród wawelski. *Wojciech Lubicz.*

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Oto co pisze „Kuryer Warszawski".

„Doznaliśmy wielkiego zawodu i musimy podzielić się z czytelnikami rozczarowaniem jakie nas spotkało.

Cała Warszawa opowiada sobie o hojności z jaką uczczone zostały na wystawie „zasługi" amazonki cyrkowej w przeskakiwaniu baryer. Dobra rzecz! rzekliśmy sobie, widać hojność na porządku dziennym, zyska niewątpliwie na tem składka na kasę rzemieślniczą i na pomnik Mickiewicza. Amazonka, to tylko początek, to tylko zaspokojenie pierwszych krzyczących potrzeb moralnych, a teraz tylko patrzeć jak się posypią pieniądze na inne cele, mniej może ruchliwe, ale głębiej wnikające w dobro społeczeństwa...

I co powiecie! oczekiwaliśmy naprożno; ze źródła o którem mowa, na kasę rzemieślniczą i pomnik Mickiewicza nie wpłynął ani grosz złamany...

Trzeba chyba poprosić jakąś nową amazonkę, aby w imieniu potrzeb społeczności zechciała kwestować..."

Na tem kończy „Kuryer Warszawski". Do wymownych słów tych nic nie dodajemy, sami Czytelnicy dalsze z nich niech wyprowadzą wnioski.

+ Towarzystwo francuzko-włoskie kopalń węgla kamiennego w Dąbrowie, może służyć za przykład troskliwej opieki jaką otacza swoich pracowników. Założyło kasę zjednoczenia, której zadaniem udzielać pożyczki, i to dość znaczne, swoim uczestnikom; przychodzenie w pomoc pozostałym wdowom przez udzielanie wsparć pieniężnych, mieszkań a nawet i stałych pensyi. Niejednokrotnie administracya ta wychowuje swoim kosztem dzieci pozostałe po swych urzędnikach. Miejscowa szkoła elementarna rządowa znacznie została rozszerzoną i liczy dwóch nauczycieli. Kosztem tejże administracyi urządzony został obszerny park, w którym w dnie świąteczne pracownicy znajdują wytchnienie po mozolnej pracy; muzyka miejscowa uprzyjemnia przechadzkę, miłej i przyzwoitej dostarczając rozrywki.

+ W Piotrkowskiem we wsi Golesze, będącej własnością pana Kamockiego, przy bardzo uczęszczanym gościńcu wznosiła się karczma, dość znaczny stały przynosząca właścicielowi dochód. Miesiąc blizko temu, karczmę zamknięto, a natomiast pani K. założyła sklep ludowy. Włościanie mogą tu nabywać po cenach targowych wszelkie artykuły żywności, a gospodynie płótno, nici, igły i t. p. przedmioty. Wódka tylko jest wykluczona. Pani K. zaopatrzyła prócz tego sklep swój w różne książki ludowe, zaprenumerowała „Zorzę" i „Gazetę Świąteczną", aby włościanie obok potrzeb codziennych mieli tu także swoje pisma, nie potrzebowali udawać się do miasta dla zakupienia lada drobnostki, a tem samem nie marnowali czasu, nie byli wyzyskiwani przez niesumiennych przekupniów i wystawieni na pokusę nadużywania trunków.

Bezwątpienia oddziała to bardzo zbawiennie na moralność i dobrobyt miejscowych włościan.

+ Słynny dzwon Zygmuntowski w Krakowie, jeden z najdroższych naszych pomników historycznych, o mało nie zamilkł nazawsze, gdyż groził mu upadek z powodu pęknięcia szruby w czasie dzwonienia w uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego. Śruba ta ważyła 80 funtów. Zawiadomiony o tem kustosz katedralny, ksiądz kanonik Polkowski, znany z gorącego umiłowania Wawelu i gorliwości o jego zachowanie, zarządził natychmiastową naprawę i umocowanie dzwonu. Gdyby nie tak nagłe i umiejętne zajęcie się, dzwon runąłby w głąb wieży i nigdy już może dźwięk jego nie rozległby się w starym grodzie.

Gdy tylko minęło niebezpieczeństwo i bez obawy można było uderzyć w Zygmunta, ksiądz Polkowski wraz z robotnikami padł na kolana pod dzwonnicą i zaintonował *Te Deum*. Jeszcze nie rozeszła się po mieście pogłoska o zamilknięciu Zygmuntowskiego dzwonu, a już trwale umocowany, odezwał się w uroczystość Zielonych Świątek.

+ Z powodu koncertów telefonicznych odbytych z takiem powodzeniem we Lwowie i w Żółkwi (odległość 4 mile), a obecnie u nas w salach ratuszowej i Resursy Obywatelskiej, podajemy pokrótce koleje jakie przechodził ten wynalazek i doprowadzenie telefonu do względnej doskonałości przez pana Henryka Machalskiego.

Wiadomo Czytelnikom naszym, że zadaniem telefonu jest przenosić głos który powstaje przez falowanie ciał elastycznych, to jest przez drobne ich ruchy tam i napowrót. Uderzywszy naprzykład w strunę fortepianu, umocowaną na dwóch przeciwnych punktach, każda cząstka struny zaczyna odbywać ruchy tam i napowrót.

Jeden taki ruch czyli drogę po jednej i drugiej stronie pierwotnej pozycyi nazywamy falą. Im struna jest krótsza, tem więcej będzie fal w pewnym przeciągu czasu, a od tej ilości ruchu, zależy wysokość tonu. Długość fal zależy od silniejszego lub słabszego uderzenia, co znowu stanowi siłę tonu. W końcu fale doznają pewnych drugorzędnych zboczeń, co zawisło od rodzaju instrumentu muzycznego i co barwę głosu względnie tonu stanowi

Za pomocą telefonu można dokładnie odtworzyć w miejscu odległem falowanie ciał elastycznych, co pozwala właśnie przenosić głos artykułowany, mowę ludzką, jakoteż śpiew i muzykę na znaczne odległości. Budowa telefonu Bell'a polega na tej własności magnesu, że za zbliżeniem do niego drugiego magnesu lub miękkiego żelaza, powstaje prąd elektryczny w zwojach multyplikacyi, o magnes prostopadle do jego osi owiniętej; oddalając zaś tenże magnes wytwarza się prąd przeciwny pierwszemu. Telefon Bell'a składa się z magnesu opatrzonego w przedłużeniu trzpieniem z miękkiego żelaza, na którym umieszczona jest multyplikacya, czyli cienki drut miedziany owinięty jedwabiem, o bardzo wielu zwojach do siebie równoległych, a prostopadłych, do osi magnesu. Nad magnesem, w niewielkiej odległości od końca trzpienia, umieszcza się okrągłą blaszkę żelazną, zwróconą prostopadle powierzchnią do osi magnesu, której obwód ściśnięty jest z obu stron przez poch-

wę przyrządu i wieczko, zaś reszta blaszki pozostaje swobodna. Końce multyplikacyi obu telefonów łączy się drutem przewodnim. Jeźli więc będziem mówić, śpiewać lub grać na jakim instrumencie w pobliżu blaszki jednego z tych telefonów, to będzie ona falować, to jest odbywać ruchy tam i napowrót, z większą lub mniejszą szybkością, w miarę wyższych lub niższych tonów; dalej fale te będą mniejsze lub większe, odnośnie do siły głosu, a względnie i tonu. W miarę ruchów blaszki powstawać będą prądy indukcyjne, dostające się do multyplikacyi po drutach przewodnich. Tak więc w tym drucie o licznych zwojach krążyć będą prądy różnego natężenia, naprzemian dodatnie i ujemne i będą wzmacniać lub osłabiać siłę magnesu, a w stosunku do tych zmian siły magnetycznej, nastąpi silniejsze lub słabsze przyciąganie blaszki do magnesu. Zatem blaszka zacznie falować, a fale jej będą zgodne z falami blaszki telefonu do której się mówi, wskutek czego następuje wierne odtworzenie głosu, śpiewu lub muzyki.

Widzimy tedy, że telefon Bell'a odznacza się prostotą urządzenia i wprawdzie bardzo wiernie głos odtwarza, ale tak cicho, że tylko za przyłożeniem ucha może być słyszany. Oceniając doniosłość wynalazku, fizycy starali się udoskonalić go i uzyskać głośniejszą reprodukcyą głosu. Pracowano w dwóch kierunkach: jedni starali się ulepszyć telefon Bell'a nieodstępując od zasady, inni dążyli do zastosowania innej własności ciał, wprowadzając działanie bateryi galwanicznych, w przypuszczeniu wywołania silniejszego skutku. Probowano tedy zastosować własności niektórych miernych przewodników elektryczności, jak: np. węgiel, koks, grafit i t. p. gdyż ciała te zmieniają stopień przewodnictwa elektrycznego, w miarę słabszego lub silniejszego gniecienia. Przy takim systemie używa się odmiennego przyrządu do przesyłania głosu; składa on się z blaszki metalowej lub odpowiedniej błony naprężonej, do środka której przylega jeden z takich miernych przewodników elektrycznych. Prąd bateryi przechodzi przez wzmiankowany mierny przewodnik i drutem przewodnim dostaje się do telefonu dokąd głos przenieść chcemy. Gdy się mówi blizko takiego przyrządu, błona wspomniana faluje i w miarę szybkości jakoteż wielkości fal, tłoczyć będzie ów przewodnik, który, w tymże stosunku, mocniej lub słabiej zacznie prąd przewodzić. W multyplikacyi telefonu zacznie krążyć cały szereg prądów różnego natężenia, który blaszkę telefonową wprowadzi w ruch tak jak i przy pierwszym systemie. Lecz ponieważ wszystkie mierne przewodniki elektryczności są ciałami kruchemi oraz bardzo mało elastycznemi, więc utrudniało to bardzo rozwiązanie zadania i długo nie dozwalało dojść do pomyślnych rezultatów.

Inżynier lwowski, Henryk Machalski, dokonał tego po licznych doświadczeniach. Zbudował na powyższej zasadzie przyrząd zwany „transmittorem", który połączony z telefonem Bell'a, reprodukuje głos bardzo wyraźnie i donośnie. Według robionych doświadczeń, za pomocą telefonu systemu p. Machalskiego, można rozmawiać wyraźnie na odległość 450 kilometrów przy użyciu stu elementów galwanicznych w miarę mniejszej odległości skutek jest silniejszy, tak że przy doświadczeniach robionych ze Lwowa do Brodów (90 kilometrów) i przy użyciu 50 elementów, 150 osób zgromadzonych we Lwowie mogły z łatwością słyszeć i zrozumieć każde wymówione słowo.

+ Doktorzy londyńscy odebrali nader zatrważającą wiadomość od jednego z najznakomitszych doktorów z San-Francisco, naczelnego doktora szpitala Św. Tomasza. Zawiadamia on kolegów o strasznem niebezpieczeństwie zagrażającem Europie, skutkiem pojawiania się trądu w pośród białej ludności w San-Francisco. Straszna ta choroba, grasująca pomiędzy Chińczykami, uważaną była dotąd za objawiającą się tylko w rasie mongolskiej, i przeto nie zwracała szczególniejszej uwagi doktorów tamtejszych. Aż nagle zaczęła szerzyć się wśród ludności białej i to gwałtowniej jeszcze niż wśród żółtej. Doktór donosi, iż w ciągu dwóch tygodni odwiedził szesnastu chorych dotkniętych tą okropną plagą, i zdaje mu się, iż żaden z nich nie odzyska zdrowia. Ostrzega więc swoich europejskich kolegów, aby nader baczną zwracali uwagę na chorych po szpitalach, i w razie dostrzeżenia podobnych symptomatów, jak najsurowiej wzbraniali wszelkiego stosunku trędowatych z innymi chorymi. A niebezpieczeństwo nie jest urojonem; ponieważ przerażone władze z San-Francisco, całą gromadę trędowatych Chińczyków kazały wsadzić na okręt, dla odwiezienia ich do ojczyzny. Nieszczęśni ci, skutkiem wrodzonego Chińczykom wstrętu wracania do ojczyzny skoro raz ją opuścili, zdołali wylądować w jednym z portów Oceanu Spokojnego, zkąd postanowili udać się do Anglii. Zaleca więc jak najściślejszy nadzór nad wpływającymi do portów angielskich okrętami z zachodniej Ameryki i niezwłoczne zwracanie trędowatych do Chin. Doktór kalifornijski podaje nader wzruszające zdarzenie, jakie miało miejsce z powodu tej okropnej choroby.

Przyszedł do niego po radę młody jakiś, trądem dotknięty Niemiec; żądał mianowicie upoważnienia do zawarcia małżeństwa — którego doktór odmówił, nieukrywając groźnego jego stanu. Wtedy młodzieniec opowiedział mu iż opóścił Bremen aby dorobiwszy się majątku w Kalifornii, poślubić swoją narzeczonę. Objął płatną dobrze posadę kasyera u bogatego kupca, i przeliczając worki płócienne dostawione przez Chińczyków, zaraził się trądem. Napisał tedy niezwłocznie do swej narzeczonej, donosząc o tem nieszczęściu i zwalniając ją z danego słowa. Uchodziły tygodnie — o mało nie oszalał nie odbierając żadnej odpowiedzi. Gdyby choć słówko współczucia czy żalu! Zrozpaczony zamyślał o samobójstwie — aż pewnego dnia ujrzał wchodzącą swoją śliczną młodziutką narzeczonę, która dowiedziawszy się o jego nieszczęściu, porzuciła wszystko i przybyła go doglądać. Zajmowała się naprawianiem koronek, z zarobku swego uzbierała małą sumkę którą obróciła na koszta podróży, a liczyła na to, że nie zbraknie jej roboty w San-Francisco, z której będą mogli się utrzymać. Pobrali się więc, ale młody Niemiec nietylko sam nie mógł być wyleczonym, ale i młodej żonie udzielił swej strasznej choroby. Gdy razem wychodzili przejść się po słońcu na drodze prowadzącej do Presidio, wszyscy ze wstrętem odwracali oczy od tej odrażającej pary — a przecież ona przynajmniej powinna była obudzać współczucie i uznanie, za taką miłość i poświęcenie. Dowiodła, że i Niemki umieją kochać niekiedy z bezgranicznem zaparciem siebie!

+ W Liège wchodzi w użycie nowe zastosowanie telefonu. Uprzedziwszy w ciągu dnia bióro centralne, tak rano jak w nocy można być obudzonym o naznaczonej godzinie. W odpowiedniej chwili odzywa się dzwonek i nie przestaje dźwięczyć dopóki interesant nie odpowie, że się już obudził.

+ Jeden z dzienników lipskich podaje sposób mający zabezpieczać szkło lamp od pękania. Oddziaływa on nietylko na trwałość tych szkieł, ale daje się skutecznie zastosować także i do naczyń glinianych, kamiennych i porcelanowych. W tym celu należy włożyć je do zimnej wody, do której trzeba dodać trochę soli kuchennej; wygotowawszy w niej silnie, odstawić aby powoli ostygły. Naczynia te i szkła opłokane następnie w zimnej wodzie, mają być nadzwyczaj wytrzymałe na wszelkie zmiany temperatury. Dotąd znano powszechnie, że wygotowanie szkła w wodzie zabezpiecza od pękania — warto sprobować czy dodanie soli hartuje go jeszcze lepiej.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 15 Іюня 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

RENATA,

przez

STEFANA MARCEL.

(Dalszy ciąg).

Po tej energicznej przemowie rodzicielskiej, dzieci zamilkły, rozmyślając zapewnie nad tem co usłyszały. W pół godziny może później, kabryolet skręcił na boczną drogę i zatrzymał się przed bramą znajdującą się przy końcu parku. Mercier wysiadł, otworzył bramę, a następnie jechał przez długą ocienioną ulicę aż do małej łączki, przy której zatrzymał siwego spostrzegłszy małych właścicieli pałacu. Renata i Gwido przybiegli tam posłyszawszy turkot kół, chcąc zobaczyć kto mógł wjechać do parku.

— E! nikt!.. zawołał zatrzymując się Gwidon. To tylko Mercier! A! jakże to dobrze! widzę, że przywiózł Alfreda. Dziękuję, dziękuję panu. Dzień dobry, Alfredzie. Chodźże, chodź prędko... Dopiero będziemy się bawić doskonale, wybornie!

— Panno Renato, panie Gwidonie, rzekł notaryusz z głębokim ukłonem, dzieci moje będą nader szczęśliwe, jeżeli zechcecie pozwolić aby spędziły kilka chwil w waszem towarzystwie... Mówię kilka chwil, ponieważ nie zatrzymamy się tu długo; jadę z dziećmi do Saint-Pol, ale muszę pierwej przedstawić pani margrabinie papiery... na nieszczęście bardzo ważne. Dla tego jedynie ośmielam się prosić, aby dzieci moje odpoczęły tu trochę w cieniu, dopóki nie wrócę z pałacu.

— Ale i owszem, panie Mercier, odezwał się Gwido z prawdziwie pańską pobłażliwością, wszakże ja sam zaprosiłem Alfreda, i nawet nie przebaczyłbym panu nigdy, gdyby pan nie przywiózł go tu do nas. Wysiądźże Alfredzie, ale pierwej podaj mi swą siostrzyczkę... Jak to dobrze, że ją pan przywiózł także. Renata ucieszy się bardzo, gdy zobaczy że będzie miała do zabawy takie śliczne cacko.

Żwawy i silny Gwido, trzymał przez chwilę w powietrzu ładną złotowłosą dziewczynkę, patrząc z instynktownem upodobaniem na jej błękitne oczy i różowe połyskające na słońcu wstążki, a następnie posadził ją na trawniku przy nogach siostry, która zbliżyła się także.

Renata odpowiedziała tylko ukłonem na grzeczność notaryusza. Mało go znała i nie czuła się nigdy zupełnie swobodną w jego obecności; lecz skoro zwróciła swe głębokie, choć trochę lękliwe spojrzenie na śliczne dziecko uśmiechające się do niej, piękna jej twarzyczka rozjaśniła się nagle, i uśmiechając się także, wyciągnęła do Linetty obie ręce, podniosła ją z ziemi, a następnie zawołała trzymając ją w powietrzu, jak Gwido przed chwilą:

— Jakaż ona śliczna i milutka, a jak się zdaje, bardzo łagodna także!

Notaryusz tymczasem odszedł głęboko zadowolniony, złożywszy pokorny ukłon, a Gwido zadawał już Alfredowi tysiące zapytań, przeskakując wspólnie z nim przez krzaki i rowy.

Melina ośmielona tak życzliwem przyjęciem, pochyliła główkę i złożyła na czole swej nowej przyjaciółki pocałunek, którym ją więcej jeszcze pociągnęła ku sobie. Renata pomyślała w tej chwili, że byłaby daleko szczęśliwszą gdyby miała taką milluchną siostrzyczkę, bo jakkolwiek bardzo kochała brata, ale był tak roztrzepany i psotny, że ciągle ją martwił i niepokoił. Usiadła na ławeczce pod drzewem, posadziła Linettę na swych kolanach, opowiadała jej powiastki, śpiewała ballady aby ją zabawić, uplotła jej wianeczek z białych i różowych stokrotek, i obie tak były zadowolone z siebie, że nie pomyślałyby nawet o innej zabawie, gdyby chłopcy do nich nie przybiegli.

— Renato! zawołał Gwidon z żywością, będziemy się bawić wybornie!... możemy mieć teraz wszystkie osoby występujące w ślicznej legendzie Iwony... Ty będziesz zakonnicą; masz właśnie czarną suknię i duży biały kołnierzyk; Alfred będzie moim giermkiem, mówił dalej roztrzepany chłopiec, nie zważając na to że Renata spojrzała z wyrazem głębokiego smutku na swą suknię żałobną; wiadomo wam zapewnie, że zwykle rycerzom udającym się na wojnę towarzyszyli giermkowie.

— Tak, Gwidonie, odezwała się Renata, ale nie zwróciłeś na to uwagi, że tu giermek przewyższałby rycerza wzrostem i siłą.

— Cóż to znaczy? odpowiedział dumnie Gwidon, nie siła czyni ludzi bohaterami ale męztwo i krew szlachecka.

Alfred, który miał także wysokie wyobrażenie o swej osobistej wartości, podniósł dumnie głowę i chciał ostro odpowiedzieć Gwidonowi, ale szczęściem przyszła mu na myśl groźba ojca dotycząca jego uszów, i zgodził się na przyjęcie podrzędnej roli narzuconej mu przez dumnego panicza.

— Ale to mnie najwięcej cieszy, mówił dalej Gwido, że mamy także księżniczkę. Melina jest tak ładna i milutka, różowa wstążka nad czołem będzie zastępować książęcy dyadem, a jasne włosy złocistą zasłonę.... Naucz ją, Renato, co mi ma powiedzieć, skoro wracając z wojennej wyprawy, złożę u jej stóp trofea zwycięztwa. Chodź prędko, Alfredzie, urządzimy tron dla niej.

Zabrali się żwawo do roboty, i w kilka minut potem, nad darniową ławeczką umieszczoną pod wielkim dębem, wznosił się baldachim utkany z kwiatów: kiście, bzu, gierlandy kaprifolium, gałęzie kwitnącego głogu, poplątane wdzięcznie z sobą, tworzyły wonne festony nad złotowłosą główką dziewczynki.

Renata stała przy tronie blada i poważna, w skromnej czarnej sukience, jak przystało młodej zakonnicy, która wyrzekła się na zawsze wszelkich ziemskich przyjemności. Nauczyła dziewczynkę jak ma powitać wracającego do niej rycerza, a chłopcy pobiegli szukać zdobyczy, której pozyskanie okryłoby ich chwałą.

Dotąd Alfred Mercier spełniał w milczeniu podrzędną swoją rolę, ale pomimo to ułożył sobie plan który zaczął wprowadzać w wykonanie, skoro tylko spostrzegł że Gwido wchodzi na wysokie drzewo, aby zdjąć znajdujące się na jego wierzchołku, opuszczone już krucze gniazdo, które chciał ofiarować księżniczce jako puklerz zwyciężonego Maura, lub głowę olbrzyma.

W pobliżu, przy murze opasującym park, rosła olbrzymia akacya, na której wierzchołku bardzo wysoko nad ziemią, kołysały się wonne i wielkie kiście białych kwiatów. Niepodobna było dostać się do nich wchodząc tak jak na inne drzewo: każda gałąź u dołu była najeżona ogromnymi kolcami, które pokaleczyłyby śmiałego giermka i poszarpały na nim ubranie. Ale tuż przy drzewie był mur, wprawdzie wysoki i prostopadły, lecz odważny chłopiec postanowił skorzystać z tego sąsiedztwa. Zapuszczając palce w szpary, opierając się kolanami o wystające trochę kamienie, a plecami o pień sąsiedniego drzewa, z zadziwiającą zwinnością i zręcznością dostał się na wierzch muru, nie zważając, że kaleczy sobie ręce szkłem z potłuczonych butelek, posypanem tam naumyślnie. Skoro już tam stanął, pochwycił rękami najbliższą gałąź, i przyczepiony do niej kołysał się jakiś czas w powietrzu, dopóki nie dosięgnął nogami grubszej gałęzi, na której mógłby się utrzymać. Następnie zerwał kilka najświeższych kiści kwiatów i trzymając je w jednej ręce, drugą uwiesił się u jednego z cieńszych konarów, bujał się chwilkę w powietrzu, a potem skoczył zręcznie na trawnik.

Dziewczęta przestraszone krzyknęły, a Gwido, który już zamierzał zdjąć gniazdo, zatrzymał się nagle.

— Czekaj Alfredzie, czekaj! zawołał. Ja pierwszy powitam księżniczkę. Giermek nie powinien składać jej hołdu przed rycerzem; rozumiesz to przecie.

Alfred nie zważając na to, zbliżał się ciągle do dziewczynek, że jednak mała siostrzyczka,—choćby nawet była księżniczką, nie jest nią nigdy w oczach brata starszego, który widział ją rano jedzącą bułeczkę z konfiturami, a wieczorem zobaczy w nocnym czepeczku, przeto i on nie zatrzymał się przed tronem ozdobionym kwiatami, lecz prosto przed Renatą spoglądającą na niego z zadziwieniem. Stosownie do ceremoniału przepisanego przez Gwidona, przykląkł na jedno kolano, i odezwał się z wyrazem nieśmiałości, która z pewnością zadziwiłaby jego ojca, gdyby go widział w tej chwili.

— Zechciej przyjąć ten bukiet, panno Renato; dla tego jedynie wszedłem na drzewo, aby zerwać go dla ciebie.

— Ho, ho, ho! zawołał Gwidon, patrząc na to z drzewa; tego nie było w legendzie i teraz być nie powinno. Nie wolno nic ofiarować zakonnicy.... Czy to siostry miłosierdzia przyjmują bukiety, i zanoszą je do swej celi?

— Mylisz się, Gwidonie, odpowiedziała spokojnie Renata, widząc że silny rumieniec pokrył twarz Alfreda i że brwi jego zmarszczyły się groźnie; zakonnica może przyjmować składane jej dary, w zamiarze złożenia ich następnie Bogu... Dziękuję panu, panie Alfredzie; uważam to za dowód wielkiej odwagi i dobroci z twej strony, że narażałeś się na niebezpieczeństwo dla sprawienia mi przyjemności... Widzę nawet, że skaleczyłeś się w rękę... Ale bukiet jest śliczny, i skoro tylko wrócę do domu przystroję nim moją kapliczkę.

Mówiąc to, podziękowała mu jeszcze uprzejmym uśmiechem i skinieniem głowy, położyła kwiatki na darniowej ławeczce, i znów śledziła troskliwie ruchy brata schodzącego z drzewa z gniazdem w ręku.

Gwidon zastosował się ściśle do wskazanego przez siebie ceremoniału. Szedł poważnie niosąc w ręku ten wielki pęk mchu, włosienia i suchej trawy, przykląkł przed swą jasnowłosą księżniczką i rzekł podając jej gniazdo:

— Pozwól, abym ci złożył jako dowód mej uległości i szacunku, tę straszną głowę niewiernego

olbrzyma, którego zwyciężyłem walcząc z nim osobiście, wdarłszy się pierwej, na twoją cześć i dla dobra chrześciańslwa, na nieprzystępną górę, na której zbudował sobie obronny zamek.

Linetta nauczona już przez swą towarzyszkę, podała rycerzowi rączkę i odpowiedziała z uśmiechem:

— Dziękuję ci, mężny rycerzu; przyjmuję z wdzięcznością ten dowód twej odwagi i szacunku dla mnie, i od dziś pozwalam ci nazywać się moim rycerzem i nosić moje kolory.

Zaledwie Melina dokończyła te słowa, zsunęła się prędko ze swego tronu, położyła na ziemi gniazdo zbyt wielkie na jej małe rączki, i zadziwiła bardzo swych towarzyszów, klękając z uśmiechem przed swym rycerzem, który tylko co powstał.

— Panie Gwidonie, rzekła, trzewik ci się rozwiązał, a mama powiada, że przez to najłatwiej upaść. Zaraz go zawiążę.

Melina mówiąc to, zaczęła już okręcać sznurowadło około nogi Gwidona, ale powstrzymano ją śmiejąc się i przedstawiając, że księżniczki nie oddają tak pokornych usług swym rycerzom.

— Dlaczego? zapytała dziewczynka, odrzucając jasne włoski. Alfred prosi mnie często, abym mu zawiązała buciki. Jestem mniejsza od niego, więc łatwiej mogę się schylić; a ponieważ pan Gwidon był tak dobrym, że wszedł na drzewo aby mi przynieść to wielkie gniazdo, to i ja także powinnam być dla niego grzeczną i zawiązać mu trzewik, aby nie upadł biegając po trawie,

Naiwność Linetty wywołała uśmiech na usta Renaty; Alfred oświadczył że dobrze jest przyzwyczajać dziewczynki do porządku, uprzejmości i uległości, Gwido zaś twierdził, że Melina jest bardzo grzeczna i milutka, i że chciała tylko iść za przykładem wielkich pań z ubiegłych czasów, które zdejmowały zbroje ze swych rycerzów, gdy wracali z wojny lub podróży.

Nastąpiły inne gry. Wesołe śmiechy i okrzyki rozlegały się pod wielkiemi drzwiami, gdzie chłopcy i dziewczynki biegali, tańczyli i ścigali się wesoło. Jednocześnie w jednym z pałacowych salonów, biedna babka siedząc z rozpaczliwie zaciśniętemi rękami, wpatrywała się z boleścią i przerażeniem w rachunki rozłożone przed nią na stole.

— Odwagi, pani margrabino, mówił słodziudkim głosem *poczciwy* Mercier. Może położenie jeszcze nie będzie tak rozpaczliwem jak się zdaje... Są to piękne dobra i posiadają wielką wartość, być może iż pozostanie pani jeszcze... dość ładny dochód... po spłaceniu długów... to jest... po...

— Tak... po sprzedaży dóbr, powiedziała margrabina stłumionym głosem, usiłując powstrzymać łzy. Jakaż to boleść dla mnie i dla tych biednych dzieci!... Sprzedać, opuścić na zawsze to starożytne rodzinne gniazdo, w którym rodzili się i umierali ich przodkowie! Jakże to ciężko, mnie złama nej wiekiemi nieszczęściami, oddalić się ztąd, szukać dla siebie i dla nich jakiegoś schronienia!...

— Może pani margrabina zbyt posępną przedstawia sobie przyszłość, odezwał się notaryusz. Miałem już zaszczyt nadmienić pani margrabinie, że prawdopodobnie po sprzedaży dóbr i zaspokojeniu wierzycieli, pozostanie coś spadkobiercom. Pani margrabina będzie więc mogła sprzedając Plouernel, zostawić dla siebie należące do niego Goëllo, nie wielki ale ładny domek wiejski. Dawniej wynajmowano go zwykle osobom przybywającym z Paryża lub innych miast, pragnącym nacieszyć się widokiem morza i wiejskiem powietrzem. ale od dwóch lat stoi niezajęty, możnaby więc przenieść się tam zaraz... Wyborne powietrze, śliczny widok na morze, niewielki ale ładny ogród, dwa kilometry pięknego wybrzeża... Geëllo warte z pewnością trzydzieści tysięcy franków... To jeszcze nie tak źle, pani margrabino, wcale nieźle!

Notaryusz wychwalał jeszcze długo tę pustą i napół zrójnowaną willę, biednej margrabinie, która przewidywała najsmutniejszą przyszłość dla siebie i wnuków. Długo też nie mogła zdobyć się na odpowiedź, i dopiero po niejakim czasie odezwała się z gorzkim uśmiechem:

— Masz pan słuszność... Widzę, że ja także równie jak mój syn, zapomniałam zupełnie o Goëllo... Tak nie dawno jeszcze było dla nas taką drobnostką! Dziś stało się jedynym środkiem ratunku, ale nie zdoła przynieść nam pociechy... Jednak przyznaję, że może mniej cierpieć będę jeżeli nie zostanę zmuszoną do oddalenia się z tych miejsc, w których spędziłam tak długie lata i przecierpiałam tak wiele. Zresztą zgadzam się na to z panem że trzeba sprzedać to rodzinne gniazdo, i sprzedać jak najśpieszniej. Długi mojego syna, długi margrabiego de Plouernel nie zostały jeszcze spłacone!... Czuję, że te dzieci które tak kocham, miałyby prawo uskarżać się na mnie kiedyś, gdybym pozostawiła dłużej podobną skazę na nazwisku ich ojca. Ale, mój Boże! któż teraz, mieszkać będzie w tym starym zamku, czy potrafi go uszanować, przywiązać się do niego?... Czy przynajmniej jakieś życzliwe oczy spoglądać będą na te mury osłaniające przez kilka wieków nasze kolebki?

— Trudno byłoby za to ręczyć, pani margrabino, odpowiedział notaryusz, którego siwe oczy błysnęły ogniem natychmiast przytłumionym. Obiegają różne pogłoski... Utrzymują naprzykład, że minister polecił prefektowi naszego departamentu, aby w tej okolicy nabył jakieś znaczne dobra, które mają być zamienione na wzorową fermę, to jest na rodzaj kolonii karnej...

— O! zawołała margrabina z wyrazem rozpaczy, nie czyń podobnych przypuszczeń, panie Mercier, nie mów że tak będzie!... Mój Boże! mój Boże! czy Plouernel'owie po to przez tyle wieków przelewali swą krew w obronie wiary i ojczyzny, aby dojść do tak strasznego upadku. Panie Mercier, nie bądź głuchym na prośbę nieszczęśliwej kobiety! Masz tylu znajomych, a wśród nich wielu bogatych, spokrewnionych z najznakomitszemi rodzinami; staraj się, aby któryś z nich nabył te dobra. Nie odmawiaj mi tej przysługi, tej jedynej pociechy jaką jeszcze mieć mogę!

— Niestety! odpowiedział notaryusz spuszczając oczy, może z obawy aby go nie zdradziły, uczynię chętnie wszystko co będzie w mej mocy, ale nie mogę zataić że nie spodziewam się pomyślnego skutku. Trudno teraz o gotówkę, zwłaszcza w arystokratycznych domach; prędzej może jakiś przedsiębierca, naprzykład pan Lemillerais, posiadający nie daleko ztąd młyny... Słyszałem nawet, że chce zbudować ich więcej, i że ma zamiar... jeżelj pani margrabina zgodzi się na to... kupić te dobra.

— Ależ to straszne! Nie mogę więc juz mieć żadnej nadziei, zawołała margrabina zalewając się łzami. Otóż to na czem kończą się nasze wielkości, do czego doprowadzają nasze upadki! Czemuż Bóg nie powołał mnie do siebie, abym nie potrzebowała patrzeć na tak bolesną dla mnie profanacyę? Młyny, w miejscu które przez tak długie lata było świadkiem naszej wielkości i chwały, w miejscu gdzie spoczywają prochy naszych ukochanych zmarłych! Łkanie stłumiło głos biednej margrabiny' i przez chwilę panowało głuche milczenie. Notaryusz wsparł łokcie na kolanach, pochylił głowę i zdawał się rozmyślać nad czemś głęboko; w salonie słychać tylko było odgłos zegaru stojącego nad kominkiem, dochodzący z ogrodu szmer liści i westchnienia nieszczęśliwej margrabiny, która przestała już uskarżać się na swój los bolesny, ale nie przestała płakać.

Nakoniec Mercier podniósł głowę, jakby powziął jakieś postanowienie, odchrząknął, spojrzał nieśmiało na panią de Plouernel.

— Pani margrabino, odezwał się z pewnem wahaniem, ubolewam szczerze nad tem że tak ciężkie zmartwienie spotyka panią. Pojmuję dobrze jak bolesne, jak upokarzające muszą być dla niej podobne przypuszczenia, dla tego też myślałem... przyszło mi na myśl... Ale może był to zamiar niedorzeczny, i dopradwy, nie śmiem...

— Mów śmiało, panie Mercier; nie mogę już usłyszéć nic dziwniejszego, nic boleśniejszego nad to co usłyszałam i co przewiduję w przyszłości.

— A więc, skoro pani margrabina upoważnia mnie do tego, przedstawię jej mój plan, którego urzeczywistnienie zależy jednak od jej zezwolenia. Posiadam, dzięki Bogu, spory kapitalik, posag żony, odziedziczony spadek, pomyślnie i umiejętnie prowadzone inreresa, a nadewszystko oszczędność, wszystko to dozwoliło mi zebrać wcale pokaźną sumkę... Otóż obliczywszy się dobrze, nabrałem przekonania, że mógłbym kupić te dobra.

— Pan! zawołała zdumiona margrabina.

— Tak, pani, ja, pokorny sługa, pomimo, że wiem iż ani dostojeństwem, ani znakomitością rodu nie mogę się równać z dawnymi ich właścicielami. Ale wróćmy do mego pałacu: kupuję dobra i ciągnę z nich korzyści, chcąc otrzymać stosowny procent od włożonego w nie kapitału, a w ręku takiego prawdziwego wieśniaka jak ja, ziemia przenosiłaby z pewnością większe dochody. Co do pałacu zostawiłbym go w takim stanie jak jest obecnie, i całkiem nie zamieszkanym, ponieważ człowiek taki jak ja, czułby się tam w zupełnie niewłaściwem dla siebie miejscu, i najmilej mu kiedy przebywa w swej kancelaryi, otoczony aktami... Pałac stałby więc pusty... nienaruszony... oczekując świetniejszej przyszłości... Bo któż wie, pani margrabino, czem będzie pan Gwido za lat piętnaście? Kto wie czy dzięki swemu urodzeniu, tytułowi, swej powierzchowności i swym zdolnościom, nie potrafi sobie wyrobić odpowiedniego stanowiska w świecie, i czy nie będzie mógł odkupić rodzinnego zamku, ktory aż do tego czasu stary *poczciwina* Mercier, przechowałby mu nienaruszony, nieskalany niczyją obecnością. Tym sposobem, pani margrabino, nie przyszłoby do niepowetowanej klęski, nie byłoby detronizacyi, ale jakiś stan przechodni... coś podobnego do bezkrólewia. Tak, najwłaściwiej będzie nazwać to bezkrólewiem.

Poczciwina umilkł, a margrabina milczała także, zdumiona tą nadzwyczajną usłużnością, tą sięgającą do poświęcenia życzliwością, której dotąd nie domyślała się nawet. Co mogło skłaniać do tego pana Mercier? Zdaję się że nie własny interes, ponieważ wyrażając stanowczo że pałac będzie nienaruszony i niezamieszkany, pozbawiał się znacznej części dochodu należącego mu się słusznie.

— Zadziwił mnie pan, panie Mercier, odezwała się nakoniec. Wyznaję, że nie spodziewałam się nic podobnego. Chciałbyś więc kupić te dobra dla tego jedynie, aby nam oddać przysługę, aby mi pozostawić nadzieję że wnuki moje wrócą może kiedyś do tego gniazda swej rodziny, z którego nieszczęśliwy zbieg okoliczności wypędza ich obecnie.

— Tak, pani margrabino, odpowiedział notaryusz z pokornym ukłonem,

— Ale, mój dobry panie Mercier, czemuż mam

przypisać tę szlachetną bezinteresowność, ten dowód prawdziwej dla nas życzliwości?

— Nie jestem znów tak bezinteresownym, jak pani margrabina sądzi, odpowiedział skromnie notaryusz; ziemia i lasy w Plouernel będą mi przynosić dochód pewny i dość znaczny... Co do zamku, to rzeczywiście pozostawiając go pustkami, jak to przyrzekłem, tracę tę cząstkę procentu, którą mógłby przynosić, gdybym go chciał wynajmować komuś.... Ale, pan margrabia zaszczycał mnie przez pietnaście lat swem zaufaniem... nawykłem poważać go, szanować..., Po nieszczęsnym wypadku, który pozbawił go życia, ubolewałem z całej duszy nad smutnym losem sierot, i zdawało mi się, że jakiś głos wychodzący z głębi mego serca woła na mnie ciągle: „Słuchajno, Mercier. staraj się coś uczynić dla tych ślicznych i milutkich dzieci... Ty jeden możesz przyjść im w pomoc, bo znasz ich położenie i masz dobrze napełniony worek. Czy miałbyś odwagę wahać się. skoro wiesz, że poświęcając kilka tysięcy franków, możesz im oddać prawdziwą przysługę?" I mogę na to przysiądz. pani margrabino, że odpowiedziałem sobie zaraz: „Nie, uczynię to bez wahania!." Co pani chce? kto sam jest ojcem, musi przeczuwać jak bolesną jest ta myśl że te dzieciny które wychowujemy z takim trudem, z taką troskliwością, mogłyby kiedyś tułać się po świecie, opuszczone, gnębione niedostatkiem. Dlatego to postanowiłem zabezpieczyć panu Gwidonowi możność odkupienia rodzinnego majątku, jeźli, o czem nie wątpię, zdoła kiedyś odzyskać właściwe sobie stanowisko i majątek. Dobra muszą być sprzedane dla zaspokojenia dłużników, ale gotów jestem zobowiązać się piśmiennie w mojem i spadkobierców moich imieniu, że zamek nie będzie przez nas zamieszkany, wynajmowany, ani też sprzedany.... Mam nadzieję, że pani margrabina wróci tam kiedyś, ja zaś do tego dnia szczęśliwego, będę się starał spełniać godnie obowiązki moich tymczasowych rządów.

Notaryusz skończywszy tę przemowę, pochylił głowę przed margrabiną, a twarz jego zdradzała żywe zadowolnienie. Margrabina zaś podniosła się i podała mu rękę.

— Jesteś uczciwym, zacnym człowiekiem, panie Mercier... Daj Boże, aby wnuki moje mogły korzystać z tego dowodu twej życzliwości; aby Renata i Gwidon mogli odzyskać swe rodzinne gniazdo! Co do mnie, czuję to że już tu nie wrócę, mówiła dalej spoglądając z niewysłowionym smutkiem koło siebie; ale też teraz nie wiele mi już potrzeba: małego kącika na ziemi, modlitwy i grobu, gdy tymczasem te biedne dzieci mają jeszcze tak długie lata przed sobą... Będę błogosławić pana, jeżeli, dzięki tobie, odzyskają kiedyś co teraz stracili.

Po nowych zapewnieniach o swej gotowości do usług, towarzyszących pełnym uszanowazia ukłonom, notaryusz oddalił się, zabrał dzieci i wrócił z nimi do domu. Jednocześnie biedna margrabina weszła do pokoju, w którym znajdowała się panna de la Trémarais, aby ją uwiadomić o zamiarach pana Mercier, które w tak rozpaczliwem położeniu zdawały się przedstawiać jakąś nadzieję ratunku.

Ciotka Sylwia słuchała uważnie, ale trudno byłoby powiedzieć że zamiary tego *poczciwego* pana Mercier ucieszyły ją albo rozrzewniły; kręciła tylko głową, powtarzając:

— Doprawdy!... pani nie spodziewala się tego?... Dziwna rzecz, dziwna!

Można było nawet sądzić że ciotka Sylwia nie dowierza notaryuszowi, ale czy można było zważać na to? Ciotka Sylwia była zawsze podejrzliwą, a zresztą nie mieszkając w tych stronach nie znała pana Mercier.

Dzieci wróciły z parku swobodne, rozweselone, a Gwidon oświadczył że nigdy jeszcze nie bawił się tak dobrze.

— Gdybyś wiedziała, babuniu, jak jestem zadowolniony z dzisiejszego poranku! zawołał zarzucając ręce na szyję babki. Bawiliśmy się tak dobrze i tak długo!... Alfred podobał mi się więcej od wszystkich moich znajomych w Paryżu; przewyższa ich nietylko uprzejmością, ale także siłą i odwagą. Siostra jego, mała Melina, jest także bardzo miła i ładna; żałuję, że babunia jej nie widziała. Pan Mercier jest także bardzo uprzejmy, tak zalecał dzieciom aby się z nami grzecznie bawiły! Doprawdy, babuniu, zrobisz mi wielką, nader wielką przyjemność, zapraszając do nas Alfreda i Melinę; chciałbym codzień bawić się z nimi. Są tak dobrze wychowani, tak zgodni, a ich ojciec jest tak poczciwy.

— Tak, pan Mercier jest bardzo dobrym i zacnym człowiekiem, odpowiedziała margrabina z westchnieniem.

Następnie słuchała milcząc wesołego szczebiotania dzieci, ukrywając swój smutek aby ich nie zasmucić, zmuszając się niekiedy do uśmiechu, a w takim razie, przyciskała do piersi ich główki, jakby dla ułatwienia sobie tak ciężkiego zadania.

V.

Na wygnaniu.

W kilka dni później, pani de Plouernel zaczęła czynić przygotowania do wyjazdu, z rozpaczą w sercu ale z pozornym spokojem. Wierzyciele nalegali o swe należności, i ona sama pragnęła aby długi jej syna zostały jak najprędzej spłacone. Przy końcu czerwca, pustka i milczenie opanowały na długie lata ten wielki starożytny zamek; dawni jego właściciele przenieśli się do Goëllo. W chwili wyjazdu, ciotka Sylwia starała się pocieszyć biedne dzieci. Przerażenie i głęboka boleść Renaty, zamieniły się następnie w cichy i łagodny smutek; Gwido po strasznych wybuchach rozpaczy zostawał pod wpływem gorżkiego zniechęcenia. Życie bez pałacu, powozu, koni i licznej służby, zdawało mu się rzeczą niepodobną, nieznośną. Zadawał sobie pytanie jakim sposobem mógł dojść do tak strasznej nędzy, jak ojciec, który go tak kochał i który był dla niego wzorem doskonałości, mógł go w niej pozostawić. Ciotka Sylwia nie umiała znaleźć stosownych słów dla uspokojenia tak gwałtownego chłopca; tkliwe pieszczoty i prośby Renaty okazały się także bezskutecznemi, i dopiero babka zdołała ukoić jego rozpacz, budząc w nim nadzieję szczęśliwszej przyszłości. Powiedziała mu, iż notaryusz zobowiązał się zachować dobra i zamek w takim stanie jak są obecnie, aby przy szczęśliwym dla nich zbiegu okoliczności mogli odkupić je kiedyś. Renata przyjęła tę wiadomość ze smutnym uśmiechem i westchnieniem; nie spodziewała się już wrócić do zamku inaczej jak myślą, przypominając sobie spędzone w nim chwile. Przeciwnie, gwałtowny Gwidon pochwycił z zapałem tę iskierkę nadziei, dozwalającą mu spodziewać się po ciężkich dniach próby, szczęśliwej, świetnej przyszłości. Przestał płakać, podniósł dumnie głowę, a czarne jego oczy błysnęły ogniem.

— Bądź spokojna, babciu, zawołał; pan Mercier ma słuszność, zdobędę kiedyś majątek. Wtenczas wrócisz tu ze mną i z Renatą, której to sprawi taką wielką radość... A! i z ciotką Sylwią także, jeżeli zechce jeszcze mieszkać z nami.

— Moje dziecko, odpowiedziała panna de la Trémarais, ciotka Sylwia ucieszyłaby się bardzo polepszeniem waszego losu, ale dla siebie nie potrzebuje pałaców i przepychu. Przywykła już do swego domku, ogródka, do swej starej Maryanny, i nie żąda więcej. Kto umie poprzestać na małem, mój drogi siostrzeńcze, nie będzie nigdy nieszczęśliwym; jest to zasada ktorą pragnę bardzo wpoić w ciebie, Gwidonie.

Chłopiec wstrząsnął dumnie głową, a z twarzy jego można było wyczytać że ta nauczka moralna nie podobała mu się wcale. Renata zaś wzięła rękę ciotki i szepnęła z pełnym słodyczy uśmiechem:

— Chciałabym, ciotko Sylwio, zobaczyć twój domek, ogródek i starą Maryannę. Jestem pewna, że u ciebie wszystkim musi być dobrze... a zwłaszcza tym, którzy jak ja kochają cię szczerze.

Ciotka przesunęła pieszczotliwie rękę po czarnych włosach dziewczynki, wpatrując się z najżywszą czułością w jej łagodną twarzyczkę; margrabina zaś mówiła ze łzami w oczach, całując Gwidona:

— Bądź mężnym, mój drogi chłopcze; uzbrój się w cierpliwość, pracuj nad sobą, abyś wyrosł na człowieka szlachetnego i rozumnego. Nasz upadek jest straszny, ale może tobie przeznaczono podźwignąć nas z niego, być naszą podporą a nawet chlubą. Myśląc o tem ciągle, nauczysz się nosić godnie nazwisko twych przodków, i możesz mieć nadzieję odzyskania ich rodzinnego gniazda.

Przygotowania do wyjazdu szły prędko; ciotka Sylwia starała się uwolnić jak najprędzej panią de Plouernel od męczarni poprzedzających rozłączenie, tak żywych, tak głębokich, a ponawiających się ciągle. Margrabina pozostawiała w tych murach tyle wspomnień, tyle drogich pamiątek, których w swem obecnem położeniu nie mogła zabrać z sobą. Widok każdego sprzętu, obrazu, lub jakiegoś innego przedmiotu przypominającego jej szczęśliwsze czasy, wyciskał gorzkie łzy z jej oczu. Niekiedy zabrakło jej siły do spełnienia niezbędnej prawie ofiary.

— Nie mam odwagi, mówiła naprzykład, pozostawić tu poneya Gwidona, ani małej strzelby, którą dostał od ojca.... Biedny chłopczyna tak będzie potrzebował rozrywki w naszem obecnem położeniu.

— Zależy to zupełnie od twej woli babciu, (panna de la Trémarais tak często margrabinę). Ale według mnie, najpotrzebniejszą dla Gwidona rzeczą jest roztropność i umiarkowanie. Jednak, skoro sobie życzysz tego, zabierzmy poneya i fuzyjkę, ale dołóżmy do nich, także dla niego, traktacik o moralności i dobrą arytmetykę. W wielu okolicznościach nie może być nic szacowniejszego, nad umiejętność postępowania i umiejętność zastosowania wydatków do swych dochodów.

Biedna margrabina dotknięta boleśnie tą zbyt szczerą radą, przypominającą jej powody obecnego upadku, westchnęła tylko i odeszła, aby zapłakać swobodnie na osobności.

Ciotka Sylwia żałowała wtedy, że wyraziła się z taką żywością i goryczą; mówiła sobie że w obec tak wielkiej boleści, powinna zapomnieć o własnych cierpieniach, o własnym żalu, że powinna myśléć tylko o tem aby się stać prawdziwie użyteczną, uczynić wszystko co będzie w jej mocy dla osłodzenia losu biednych wygnańców.

Rzeczywiście los tej biednej rodziny byłby prawdziwie opłakanym, gdyby energiczna Sylwia nie pojechała z nimi do Goëllo. Dom duży, nizki i sza-

ry, stojący pustkami przez trzy lata, był zimny i wilgotny; tynk opadający miejscami i dach omszony, nadawały mu pozór ruiny. Zielsko krzewiło się bujnie w ogrodzie i w jaśminowej altance; w oknach i we wszystkich kątach wisiały festony z pajęczyny. Chłodny wiatr morski przeciskał się do wnętrza domu przez źle okitowane szyby; stada myszy przestraszone odgłosem ludzkich kroków, rozbiegały się na wszystkie strony. Ale nikt lepiej od ciotki Sylwii nie umiał dojrzéć mularzy, odświeżyć stare mury, oczyścić okna i ozdobić je białemi jak śnieg firankami, rozweselić pomieszkanie sutym ogniem odbijającym się w połyskującej posadzce; przyrządzić skromny ale smaczny obiad. Renata wprawiała się pod jej kierunkiem, w te ciche i mozolne zajęcia tak niezbędne w życiu rodzinnem; w te troskliwe starania o dobro otaczających nas osób, które stanowią obowiązek a zarazem pociechę dla wszystkich, nawet dla małych i słabych, nawet dla biednych i nieszczęśliwych. Ciotka Sylwia wiedząc, że jej obecność w Goëllo jest prawie niezbędną, powtarzała sobie często. „Nie mogę jeszcze wrócić do domu, czuję że mnie potrzebują" i spełniała dalej gorliwie swoje zadanie.

Ciotka Sylwia nie myliła się, była rzeczywiście potrzebną mieszkańcom Goëllo. Sprzedaż dóbr nastąpiła wkrótce, a notaryusz tak gorliwie nad tem pracował, aby jak najkorzystniej dla siebie przeprowadzić swe plany! W jednych wmówił, że nowa kolej żelazna nie będzie przechodzić około lasu w Plouernel, ale o dwie mile dalej, przez inne dobra, które także miały być sprzedane. Innym dawał do zrozumienia, że grunta w Plouernel, wyzyskiwane przez chciwych fermierów, zostały prawie zupełnie wycieńczone, że zmarły margrabia, zawsze potrzebujący pieniędzy, przetrzebił bardzo lasy. Słowem manewrował tak zręcznie, że prawie sam tylko stanął do licytacyi, i tym sposobem dobra zostały sprzedane o trzecią część niżej od rzeczywistej wartości. Że zaś pierwej ponabywał znaczniejsze długi obciążające hipotekę, potrzebował obecnie dopłacić sto tysięcy franków. Dla sierot po spłaceniu wszystkich wierzytelności, pozostało zaledwie czterdzieści tysięcy franków. Margrabina otrętwiała prawie z przerażenia, dowiedziawszy się o tem. Jakże zdoła dać wnukom wykształcenie odpowiednie do ich stanowiska, zgodne z rodzinnemi tradycyami? Jak potrafi rozwinąć ich wrodzone zdolności i talenta, któreby mogły stać się dla nich kiedyś, niestety! środkiem ratunku.

W tak trudnych okolicznościach, Sylwia namyśliła się i wahała długo, a nakoniec, stosownie do swego zwyczaju, dla dobra innych zapomniała o sobie, i pewnego dnia wesoło i spokojnie przedstawiła margrabinie swe zamiary.

— Nikt tu z nas nie jest bogaczem, babciu, rzekła z uśmiechem, ale każdemu wiadomo, że dwie małe sumki dodane do siebie uczynią jedną większą. Czy chcesz abym pozostała na zawsze z wami; mogłabym wynająć mój domek i przenieść się tu z całem gospodarstwem.

— Jakto! chciałabys to uczynić? Zrobiłabyś dla nas takie poświęcenie, moja dobra Sylwio?... Ale nie możemy tak nadużywać....

— Nadużywać czego?... Czy mojego przyjemnego towarzystwa?... Jeźli ci tak nie miłe, babuniu, powiedz mi to szczerze... Wszakże Renata i Gwidon są memi siostrzeńcami, moimi jedynymi spadkobiercami... Co do mnie, bylebym miała kalosze, bawełnę i druty, parasol i kawę, to nie żądam więcej; cóż więc dziwnego że chcę aby te biedne dzieci korzystały już teraz z tego co posiadam?... Otóż skoro tu pozostanę, będzie można przeznaczyć procent wypłacany przez notaryusza na umieszczenie Gwidona na pensyi. Chłopiec potrzebuje miéć towarzyszy, tym sposobem uczy się żyć z ludźmi... Zresztą, nie umiałabym wychować przyszłego margrabiego, dodała z goryczą, dowodzącą że w jej sercu odezwało się jakieś przykre wspomnienie. Co do Renaty, możesz na mnie rachować, matka nie mogłaby kochać jej więcej i lepiej. Wierz mi, babciu, że nie będzie to zadaniem przechodzacem nasze siły, że potrafimy ją wychować na kobietę ukształconą, zacną, skromną, miłą, na kobietę może zbyt dobrą i rozumną, dla takiego męża jakiego w obecnym czasie spotkać można. Przypominam sobie, że będąc na pensyi, odbierałam zawsze najpierwsze nagrody; zapewnie od tego czasu zapomniałam wielu rzeczy, ale popracuję trochę i odświeżę sobie wszystko w pamięci. Przyjaciółka moja, przełożona klasztoru w Rennes, wskaże mi potrzebne książki; przywiozę tu mój stary fortepian, zanim będziemy mogli miéć lepszy, i raz na tydzień będę jeździć z Renatą do Brest, gdzie będzie brała lekcyę muzyki i rysunku... To już biorę zupełnie na siebie: Renata jest moją faworytką, nic zatem dziwnego, że chcę aby się stała moją pociechą i chlubą. Widzisz więc, babciu, że nie potrzebujesz niepokoić się o nią; zresztą wiesz przecie że kiedyś uczyłam sama jej matkę... którą tak kochałaś... moją drugą Renatę.

Ciotka Sylwia dokończyła te słowa stłumionym głosem, pochyliła głowę, i siedziała długo, długo ze spuszczonemi oczyma.

Panna de la Trémarais przyprowadziła wkrótce do skutku swe szlachetne zamiary. Najprzód pojechała do Saint-Servan, dla urządzenia swych interesów, a następnie do Rennes gdzie Gwido miał być umieszczony na pensyi. Roztrzepany ale dobry chłopczyk, opuścił z prawdziwą boleścią Goëllo; odzwyczaił się prędko od przepychu, którym był otoczony w pałacu; czuł się tu nawet daleko swobodniejszym, a wycieczki do lasu i nad morze zadawalniały go zupełnie. Zresztą, dobra babunia chcąc mu sprawić przyjemność, zezwoliła aby Alfred i Melina odwiedzali go często. Nic zatem dziwnego, że biedny Gwido z głębokim smutkiem opuszczał przyjaciół i swe nowe mieszkanie. Jednak duma nie dozwalała mu płakać przy pożegnaniu.

— Nie smuć się, babciu. Nie płacz, Renato, rzekł z bólem w sercu, ale i o ile mógł najspokojniej. Wiem, że potrzebuję pracować i uczyć się aby wyjść na człowieka... Chcę być kiedyś szczęśliwym, bogatym, poważanym. Zapewniam was, że będziecie ze mnie zadowolone, skoro tu wrócę.

Mercier, uważany przez margrabinę za przyjaciela jej rodziny, miał odwieść na pensyę Gwidona. Przejeżdżając przez Kergoat, zatrzymał się na chwilę przed swym domem, gdyż Gwido chciał pożegnać się z Alfredem i Meliną.

— Jakże ja chciałbym pojechać z tobą!" rzekł z westchnieniem Alfred, ściskając jego rękę. Na takiej licznej pensyi można bawić się daleko lepiej niżeli w naszej nędznej szkole!

— Powiedz mi, Gwidonie, czy prędko będą wakacye? zapytała płacząca Melina. Papa mówił wczoraj, że przyjedziesz tu na wakacye... O! mój Boże! mój Boże! niechże nadejdą jak najprędzej!

Biedna dziewczynka była tak wzruszona, rumiane jej usteczka drżały tak mocno, i tak silnie przyciskała do piersi swe drobne i pulchne rączki, że Gwido patrząc na nią z trudnością powstrzymywał się od płaczu.

— Moja droga Linetto, rzekł unosząc ją w górę, powrócę niedługo, i powrócę z nagrodami. Daruję ci wszystko, jeżeli... jeżeli nie zapomnisz jeszcze o swym przyjacielu Gwidonie.

— Jeźli nie zapomnę!...

Nie mogła powiedzieć nic więcej, tylko głośniej zaczęła płakać, a Gwido czując że mu się także łzy cisną do oczu, ucałował prędko Alfreda i wskoczył do powozu.

Cicho teraz było i prawie pusto w Goëllo; te dwie poważne kobiety i ta łagodna dziewczynka, nie mogły go tak ożywić, jakż wawy figlarny Gwido. Renata była często sama, niekiedy smutna, jednak nie nudziła się, ani też uważała za nieszczęśliwą. Wszakże żyła obok baki i ciotki, większą część dnia zajmowały jej nauki, mogła się przechadzać po zielonym stepie rozpoczynającym się przed progiem starego domu i dochodzącym aż do lasu; mogła patrzéć na morze błękitne i ozłocone promieniami słońca, lub posępne i szare, które piętrzyło się, szumiało, lub huczało groźnie. Prócz tego Melina nie zapominała o Renacie, i odwiedzała ją już kilka razy, kiedy zdarzył się wypadek, który, pomimo uprzedzenia panny de la Trémarais do notaryusza, połączył ściślej jeszcze dziewczynki a w skutek tego ich rodziny.

Pewnego dnia, gdy Renata była z ciotką w Kergoat, panna de la Trémarais poszła odwiedzić dawną służącą chorą na jakąś gorączkę, a nie chcąc wziąść z sobą siostrzenicy, zostawiła ją na chwilę samą. Renata przechadzała się nad wązką rzeczką dotykającą drugim brzegiem do ogrodu notaryusza. Patrzyła właśnie na domek z zielonemi okiennicami, i kwiatki kołysane powiewem wiatru, kiedy otworzono drzwi wychodzące do ogrodu, i Linettka sama podobna do kwiatka, zaczęła bawić się między kwiatami. Spostrzegła wkrótce Renatę, pobiegła ku niej, i zatrzymała się dopiero nad brzegiem rzeki.

— Dzień dobry, panno Renato, dzień dobry! zaczęła wołać wesoło swym miłym głosikiem. Nie widziałam cię tak długo, a tak chciałabym cię ucałować.

— Ja także pragnę tego Linetko. Szkoda że nas rozdziela rzeczka.

— O! tak, wielka szkoda! Ale postaram się o to, panno Renato, abym cię mogła uściskać. Poproszę Franciszki żeby poszła ze mną na spacer w tamtą stronę, tym sposobem spotkamy się z sobą gdy będziesz wracać do Goëllo; tymczasem uzbieram dla ciebie piękny bukiet. Nie mam nic prócz kwiatków, a tak chciałabym ofiarować ci coś takiego, coby ci sprawiło przyjemność.

Odbiegła napowrót i przesuwając się szybko wśród róż, pelargonij, gwoździków i fukcyj, uzbierała wkrótce tak duży bukiet że zaledwie mogła utrzymać go w swych drobnych rączętach, i ucieszona pośpieszyła ku rzece, chcąc go pokazać swej przyjaciółce. Podnosząc go dumnie w górę spostrzegła tuż nad brzegiem rzeki śliczny różowy mieczyk.

— O! jakiż to kwiat wielki i piękny! zawołała: Zerwę go, Renato, i włożę w sam środek bukietu, będzie wyglądał jak królowa otoczona swym dworem.

Zanim Renata miała czas ostrzedz ją, aby się nie zbliżała do rzeki, dziewczynka schodziła już do kwiatka po prostopadłym prawie w tem miejscu brzegu, potykając się często, nagle pośliznęła się, upadła i potoczyła w rzekę, na której powierzchni ukazała się wkrótce jej blada i śliczna twarzyczka, otoczona płynącemi koło niej kwiatkami.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 27.

N. 1—3. Ubrania letnie.

N. 1. Suknia z czarnej grenadyny.

Piękne czarne ubranie odrobione było z jedwabnej deseniowej grenadyny, z surah przerabianej szlifowanemi perełkami i z szerokiej czarnej hiszpańskiej koronki, układanej w kontrafałdy. W odstępach pomiędzy fałdami i przy długich końcach wstążki naszyte grelotki z czarnych perełek. Tunika z surah mocno z jednego boku podpięta, z tyłu dopełniona jest draperyą z bryta grenadyny. Plastron z przodu stanika bawetowo zakończony, można dać i na plecach, lecz krótszy. Do plastrona przyszyte epolety ze skośnej podwójnie złożonej grenadyny.

N. 2 i 13. Ubranie dla dziewczynki lat 8—10. Krój N. VI, fig. 31.

Sukienkę przykrojoną podług modelu podanego na fig. 31, dopełnia u dołu spódniczka fałdowana, mająca 36 c. długości a 210 obwodu. Na modelu z różowego kaszmiru, plastron dany był z ciemno-karmazynowego aksamitu, zarówno jak i mała, skośna, fałdowana draperya z przodu, przepięcie z tyłu nad bufą i kołnierz mający z tyłu $8^1/_2$ cent. szerokości. Szerokie rękawy są odpowiednio do pleców kilka razy przemarszczane koło ręki, na zapięciu sukienki na kryte haftki przy plastronie, dane są kokardy z różowego atłasu. Z boku pleców przy szerokiej kokardzie z kaszmiru dana jest zręczna kieszonka, 20 c. wysoka, a 42 szeroka, z nagłówkiem wywiniętym, podszytym aksamitem.

N. 3. Ubranie dla młodych osób.

Każden miękki materyał wełniany lub bawełniany, gładki i deseniowy, nadaje się do odrobienia tego świeżego ubrania. Szerokie aż do bryta tylnego dochodzące przemarszczanie („coulissé") stanowi u dołu wązką, plisowaną falbankę, spadającą na szerokie plisowanie. Na szerokiej baskinie stanika naszyta przemarszczana kieszonka; rękawy ozdobione w górze bufkami. Kołnierz i mankiety cienkie płócienne, oszyte nicianą koronką.

N. 4 — 10 i ryc. 2 — 3 w N. 28. Cztery **serwety** do kawy. Deseń do haftu gobelinowego i krzyżowego figura 76.

Model do ryc. 4—7 odrobiony był na kanwie *aida* popielatego koloru, użytej w całej szerokości, długość dopasować trzeba odpowiednio do wielkości stolika. Poprzeczne strony zakończone są frendzlą 10 cent szeroką, w kanwie siepaną i wyciągniętemi nitkami wiązaną. Na modelu nad frendzlą oprócz wązkiego szlaczku, z jednej strony wyszyte było stosowne zdanie, z drugiej szlak szeroki, stanowiący skośną kratę w środku zapełnioną kwadratami z siatki gipiurowej, lub wprost na kanwie wyszytemi. Próbkę kraty robionej kolorem białym i ponsowym dajemy na fig. 76, dwa kwadraty z siatki gipiurowej zarabianej biało lub ponsowo i wdziergane w kanwę, dajemy na ryc. 6 i 7. Kwadraty do roboty krzyżowej i gobelinowej łatwo dobrać w Tygodniku Mód z roku bieżącego.

N. 8. Serwetka na mały stolik.

Do przyozdobienia serwetki z popielatego buretu, użyta była chustka bawełniana w jaskrawym tureckim guście mająca 73 cent. długości a 71 szerokości, 10 cent. szerokie szlaki chustki stanowiły szlak serwety, ozdobiony łatwem, pośpiesznem wyszyciem, filozelą 3 nitkową, w stosownie dobranych kolorach. Brzegi szlaku zakończone plecionką czarną wełnianą, przyszytą ściegiem cierniowym. W rogach przyhaftowane pojedyńcze rzuciki z tła chustki. Frendzla z włóczki bronzowej i jedwabiu żółtego, ozdobiona różnokolorowemi kwaścikami.

N. 9 i ryc. 2—3 w N. 28. Serweta do kawy, ozdobiona ściegiem pojedynczym i krzyżowym na dwie strony, oraz kratką ażurową.

Serweta z kanwy *Jawa* mająca 142 cent. szerokości a 206 długości, ozdobiona była kratką ażurową w kanwie wyciąganą i szytą podług ryc. 2 i 3, oraz szerokim szlakiem robionym ściegami na dwie strony, bawełną do haftu w 3-ch cieniach niebieskich. Szlak 46 krzyżyków szeroki złożony być może ze zwierząt i ptaków bajecznych, z herbów, godeł, arabesek i t. p. Próbkę wązkiego szlaczku dajemy na ryc. 2 w N. 28.

N. 10. Serweta haftowana na materyale bawełnianym lub wełnianym. Ścieg krzyżowy.

Model serwety robiony był na bawełnianej satynce koralowego koloru, włóczką crewel w 3-ch cieniach oliwkowych, ściegiem krzyżowym, z podłożeniem kanwy. Po skończeniu roboty daje się podszewkę z takiej samej satynki, a brzegi oszywa się sznurem, rogi zdobi się kwastami z włóczki w kolorach haftu.

N. 12. Suknia princesse z garnirunkiem przemarszczanym i plisowanym dla panienki lat 8—10. Krój N. IX, fig. 42—46.



N. 1. Suknia z czarnej grenadyny.

N. 2. Ubranie dla dziewczynki lat 8—10. Zobaczyć plecy na ryc. 13. Krój N. VI, fig. 31.

N. 3. Ubranie dla młodych osób.

Sukienkę taką odrobić można z materyału wełnianego, albo z kretonu, oxfordu, toile de Vichy i t. p.. Plecy i przody zdobią fałdy 1 cent. głębokie, na które dodać można w krajaniu po 11 cent. materyału, lub odrobić oddzielnie i wszyć. Na fig. 42—43 oznaczona jest szerokość fałdowania, które na wcięciu w pasie i w górze przy przodach przemarszcza się gęsto na 5 cent. długości. U dołu plecy dopełnione są fałdowanym bryczkiem 40 c. długim a 50 szerokim, na którem spada luźno puszczony, patką przepięty koniec fałdowania pod które z przodu podchodzi 16 cent. szerokie garnirowanie spódnicy, podane w zmniejszeniu na ryc. 4 w N. 28. Mankiety przemarszczane, w górze plisowaniem zakończone, mają 8 c. szerokości. Do przystrojenia sukienki w sposób wskazany na ryc. 12, służy plecionka wełniana $^3/_4$ cent. szeroka.

N. 18 i ryc. 46—47 w N. 28. Teka do pisania. Haft renaissance. Część deseni fig. 33—34a.

Model teki miał 34 cent. wysokości a 25 szerokości. Na ryc. 46 i 47 podajemy dwa stosowne desenie w naturalnej wielkości, oraz wskazujemy rodzaje ściegów, a na fig. 34 i 34a dalszy ciąg deseniu któren zestawić trzeba podług krzyżyków. Na fig. 33 dana część środkowej arabeski wraz z literami. Kontury wszędzie obwodzi się sznureczkiem złotym gładkim lub kręconym. Na modelu na tle ciemno-zielonem, proste paski z brzegów robione były pelą jasno-zieloną, wewnętrzne figury w narożnikach były ponsowe, zewnętrzne jaśno-bronzowe, przytykające listki robić pelą niebieskawo-pawiego koloru, a gałązki vieil-or, dalsze arabeski pelą lilla, ponsową i pawiego koloru. Środkowe litery były ponsowe ze złotem, a w arabeskach powtarzały się kolory szlaku w taki sposób ażeby się harmonijnie zmieniały.

N. 19. Haftowany **bukiecik kwiatów**, do serwetki ryc. 20.

Bukieciki lub pojedyńcze gałązki kwiatów, malowane na kretonie lub welwecie, służą za tło do haftu płaskiego, robionego jedwabiem kordonkowym i cienką szenilą w odpowiednich kolorach. Haft może (jak na ryc. 19,) zupełnie pokrywać materyał użyty na tło, ktore wówczas zastępuje rysunek i znakomicie ułatwia robotę i układ cieni, albo też można część tła zostawić niepokrytą, a haftem odznaczać cienie i nadawać potrzebną wypukłość. Do przyozdobienia większych przedmiotów można z oddzielnych kwiatow i gałązek układać bukiety, wieńce i t. p. Małe bukieciki lub gałązki kwiatów służą do przyozdobienia krawatek, szarf, poduszek, pudełeczek i tym podobnych, układane w girlandy lub trenaże, stanowić będą bogate i strojne ubranie sukien. Haft robić trzeba w krośnach, a wykończone i starannie wycięte kwiaty gumuje się z lewej strony i zwolna suszy.

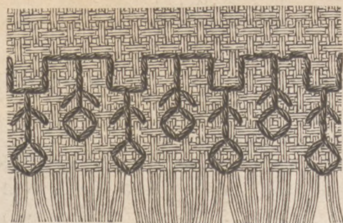
N. 20 i ryc. 45 w N. 28. Serwetka oszyta koronką hiszpańską, kolorowo haftowaną. Zobaczyć deseń na fig. 75.

Serwetka z atłasu vieil-or, podszyta fularem, miała oprócz koronki 32 cent. długości a 22 szerokości, miała na środku gałązkę róż, haftowaną naturalnemi kolorami sposobem wskazanym przy ryc. 19. Największą jednak ozdobę stanowiła 9 c. szeroka koronka hiszpańska haftowana jedwabiem kolorowym do cieniu, sposobem wskazanym na ryc. 45 w N. 28. W narożnikach umieszczone były małe gałązki liści, starannie wycięte z haftowanej koronki.

N. 21 — 22. Kołnierzyk haftowany w maszynie. Krój i deseń N. XIX fig. 71 i 72.

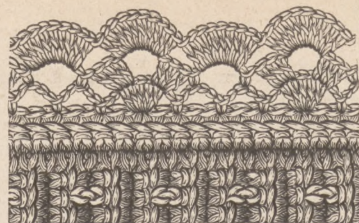
Na modelu cienki batystowy kołnierzyk haftowany był z podkładaniem tiulu, ściegiem tambarkowym w maszynie. Pojedyncze figury deseniu, połączone były pręcikami ozdobionemi supełkami robionemi bawełną kordonko-

wą, z pod których wycina się ostrożnie tiul i batyst. Kołnierzyk taki można także zrobić ręcznie ściegiem dzierganym.



N. 5. Wyszycie nad frendzlą do ryc. 4.

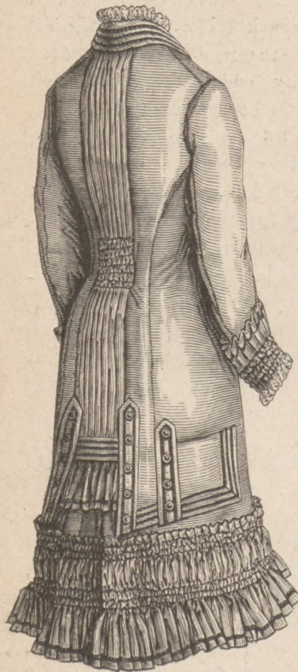
N. 4. Serweta do kawy lub herbaty. Haft gobelinowy. Zobaczyć ryc. 5—7 i fig. 76 na arkuszu z krojami



N. 11. Koronka szydełkowa do obrobienia gorsetu r. 7 w N. 28.

N. 28 — 29. Suknia z chusteczką. Krój N. I, fig. 1—9.

Model odrobiony był z satyny niebieskiej gładkiej i w biały deseń, lecz fason ten nadaje się także do strojniejszych toalet np do kaszmiru i surah. Spódnica mająca 180 cent. szerokości oszyta wolantem 58 cent. szerokim, układanem w duże fałdy. Wykrój szyi przy staniku oszywa się prostym, 2 c. szerokim paskiem, w któren wszywa się od O do P kołnierz z włożonym między brzegi drucikiem. Chusteczkę przykrojoną podług modelu i miar danych na fig. 8, sfałdować w środku i z przodu na wcięciu w pasie podług znaków i ogarnirować plisowaniem 4 cent. szerokiem, przez środek przestębnowanem. Przedni bryt draperyi zachodzącej na brzeg baskiny, marszczy się z boków do 40 c. i zeszywa z ułożonym w fałdy brytem tylnym, którenw górze złożony jest w dużą kontrafałdę; na baskinie przyszyty i kokardą ozdobiony. Przednią draperyę przyszyć można na staniku tylko do połowy, czyli do zapięcia.



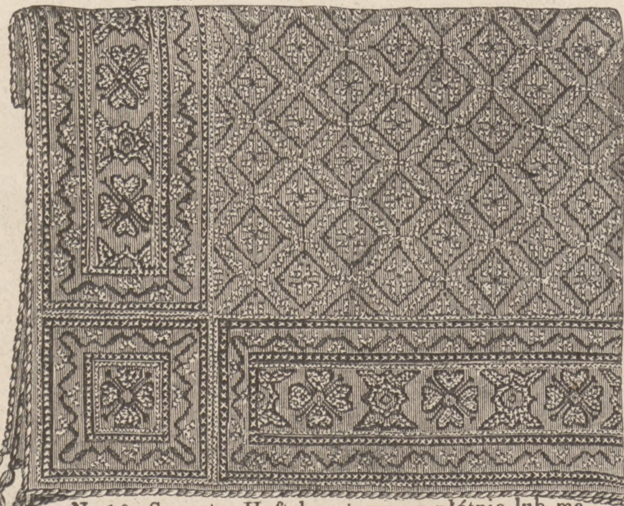
N. 12. Suknia formą princesse z fałdami przemarszczanemi, dla panienki lat 8-10. Krój N. IX, fig. 42-46. Garnirunek zmniejszony zobaczyć na na ryc. 4 w N-rze 28.

N. 8. Mała serwetka ozdobiona haftem i aplikacyą.

N. 9. Serweta do kawy. Ścieg na 2 strony. Zobaczyć ryc. 2 i 3 w N. 28.



N. 14. Czwarta część desenju wygryzanego serwaserem na cynie, na pokrywę ryc. 15.



N. 10. Serweta. Haft krzyżowy na płótnie lub materyale wełnianym.



N. 17. Czwarta część marki do kufla z piwem, do ryc. 16.



N. 15. Pokrywa do kufla z piwem. Wypalanie serwaserem na cynie. Zobaczyć deseń ryc. 14.

N. 16. Marka do kufla z piwem. Deseń na fig. 35 lub na ryc. 17.

N. 30 i 45. Suknia z gładkiej surah. Krój pleców N. XX, fig. 73.

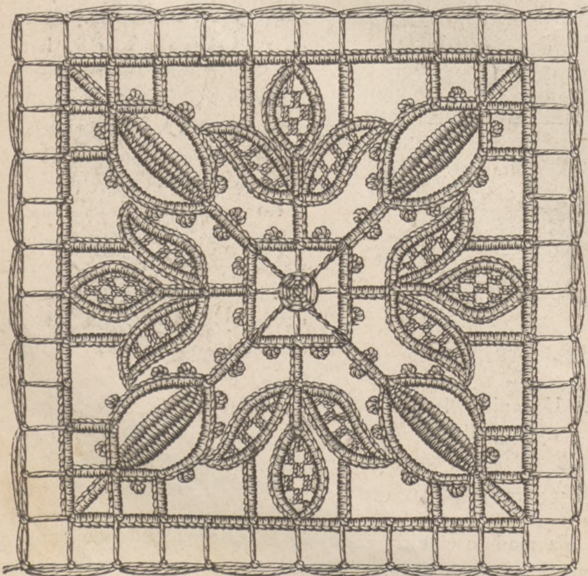
Rycina 30 przedstawia suknię z gładkiej surah, ze stanikiem z frakową baskiną i gładkiemi rękawami, a na ryc. 45 podajemy z gładkiej i cieniowanej materyi surah, ubranie zwane „costume Bayadere". Dwa bryty materyi zachodzące się ze sobą najjaśniejszym cieniem zeszyte są na draperyę przednią, w górze 12 razy przemarszczoną i przyszytą na spódnicy 23 cent. poniżej wcięcia w stanie. Dalej zmarszczki rozchodzą się luźno do dołu, gdzie przyszyte są pod garnirunkiem danym z przodu i z boków. Garnirunek ten przemarszczany w bufki podłużne, zakończone falbaneczkami jest także z materyi cieniowanej; pomiędzy dolne plisowanie i falbaneczkę dana jest marszczona koronka. Stanik z przodami otwartemi à panier i frakową fałdowaną baskiną z tyłu i bryt tylnej draperyi jest z gładkiej surah. Między otwarte przody dany jest plastron przemarszczany z cieniowanej surah, dochodzący do draperyi, a zakończony wązką falbaneczką. Bufowane i przemarszczane rękawy układa się z całego bryta materyi cieniowanej, mankiety i kołnierz aksamitny. Pod ten ostatni podłożona muślinowa w fałdy złożona chusteczka, oszyta koronką, zapięta z przodu kokardą z cieniowanej wstążki.



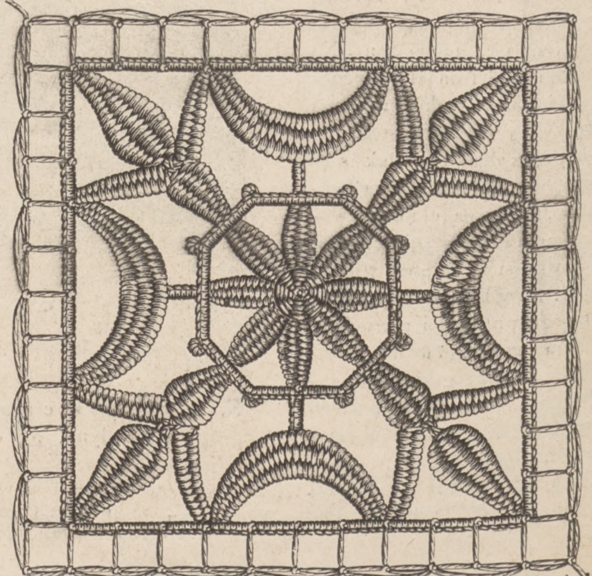
N. 13. Suknia dla panienki lat 8—10. Przód i opisy ryc. 2. Krój N. VI, fig. 31.

N. 32. Sukienka fałdowana z karczkiem przemarszczanym, dla dziewczynki lat 4—7. Krój podług ryc. 3. w N. 1 Tygodnika z r. b.

Kilka razy przemarszczany karczek kraje się w jednym ciągu z sukienką w kontrafałdy ułożoną i dwoma dolnemi bufkami układa się na gładkiej podszewce formą princesse. Szerokie rękawki kraje się zupełnie prosto, przemarszcza w górze na bufkę, a przy ręce wsuwa w wązki pasek.



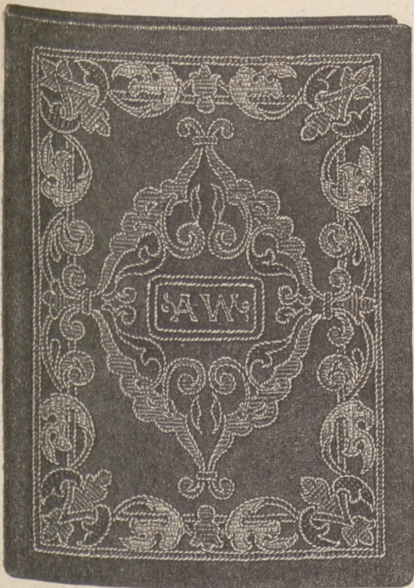
N. 6. Kwadrat z siatki gipiurowej, mogący służyć do ryc. 4



N. 7. Kwadrat z siatki gipiurowej, mogący służyć do ryc. 4

N. 33. Sukienka bluzkowa dla dziewczynki lat 4—7. Krój N. V, fig. 27—30.

Przy sukienkach z materyału do prania, trzeba spódniczkę 175 cent. szeroką szyć oddzielnie, a bluzkę

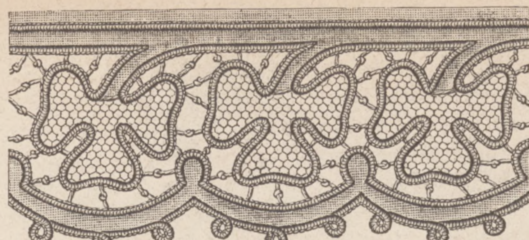


N. 18. Teka do pisania. Haft renaissance. Deseń w naturalnej wielkości na ryc. 46 i 47 w N. 28 i na arkuszu z krojami fig. 33.

marszczyć na sznureczki w ten sposób, ażeby ją gładko rozsuwać można było.

N. 34. Majtki ze stanikiem i bluzką fałdowaną dla chłopczyka lat 3—5. Krój N. III, fig. 16—21.

Pod bluzkę z cienkiej, ciemnej kroazy, daje się gładką podszewkę aż do wcięcia w stanie, dalej fałdy są luźno puszczone. Wypustki z atłasu vieil-or, guziczki stalowe. Majtki na podszewce, przykroić podług fig 16, a na szwach ozdobić podwójną stębnówką z jedwabiu żółtego. Stanik z kretonu może być z przodu przyszyty do majtek, albo przypinany na guziki.



N. 21. Koronka do kołnierzyka ryc. 22, haftowanego w maszynie, którą robić można ręcznie ściegiem dzierganym.



N. 19. Haftowany bukiecik kwiatów, mogący służyć do ryc. 20.

N. 22. Kołnierzyk haftowany w maszynie Zobaczyć ryc. 21. Krój N. XIX, fig. 72.

N. 35—37. Żakieta i majtki dla chłopczyka lat 4—6. Krój N. IV, fig. 22—26 i 16—17.

Ryc. 35—37 przedstawia ubranie z letniego angielskiego materyału. Majtki i stanik z kamizelką przykroić

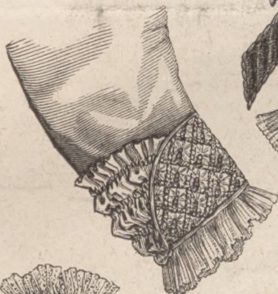


N. 20. Serwetka oszyta koronką hiszpańską ozdobioną haftem kolorowym. Próbka koronki w naturalnej wielkości r. 45. w N. 28. Deseń na fig. 75.

podług fig. 16 i 17, powiększając stosownie do wzrostu. Na fig. 22 oznaczone jest linijką przecięcie kieszonki na piersiach i przyszycie patki. Pod przody daje się podszewkę z satynki; brzegi są w odstępie 1 cent. dwa razy przestębnowane, a między stębnówkami przyszyte piękne metalowe guziki. Mankiety i patkę przy kieszonce, oprócz guzików zdobi wyszycie sutażem.

N. 38—39. Żakieta do gimnastyki dla chłopców lat 6 do 9. Krój N. XIII, fig. 58—64.

Żakieta robi się z drelichu lub płótna kolorowego, patki do kieszonek są z prawej strony przystębnowane, a kieszonki dane od spodu. Pod guziki i dziurki daje się od spodu listwy 11 cent. szerokie, a dół podszywa się wązką listewką. Do pleców daje się na wcięciu w stanie paski 4 cent.



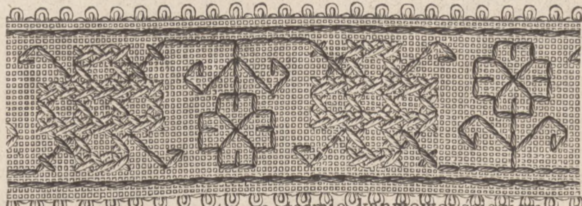
N. 23. Rękaw do sukni ozdobiony wyszyciem perełkami.



N. 25 i 26. Duży kołnierz i mankiet ozdobiony szlakiem wyszytym na taśmie kanwowej. Zobaczyć ryc. 27.



N. 24. Rękaw do sukni ozdobiony haftem i kokardą.



N. 27. Szlak wyszyty na taśmie kanwowej ściegiem plecionym i podłużnym, do ryc. 25 i 26. Wielkość naturalna.



N. 28. Ubranie z chusteczką. Zobaczyc przód na ryc. 29. Krój N. I, fig. 1—9.



N. 30. Suknia z surah. Zobaczyć także ryc. 45. Krój pleców stanika N. XX, fig. 73.



N. 32. Sukienka z przemarszczanym karczkiem dla dziewczynki lat 4-7. Krój podług ryc. 37 w N. 2 Tygodnika Mód.



N. 33. Suknia z długim stanem bluzkowym dla dziewczynki lat 4—7. Krój N. V, fig. 27—30.



N. 31. Ubranie z mantylą. Zobaczyć także ryc. 24 w N. 28. Krój i model spódnicy z draperyą N. II, fig. 10—15.



N. 29. Ubranie z chusteczką. Plecy na ryc. 28. Krój N. I, fig. 1—9.

szerokie na guzik zapinane. Guziki z konchy perłowej.

N. 42—44. Rękawiczki, parasolik i wachlarz.

Ryc. 42 przedstawia rękawawiczki jedwabne bez guzików, tylko na elastykę przyciągane, wyrabiane są we wszelkich kolorach.

Ryc. 43 przedstawia parasolik z szafirowego płótna, oszyty szlakiem w kratę różnokolorową 12 cent. szeroką i koronką białą 8 cent. szeroką.

Ryc. 44. Wachlarz czarny atłasowy z brzegów oszyty złotą, kolorowemi jedwabiami przerabianą wstążką, ma oprawę z drzewa czarnego, nabijaną złotem.

N. 47—48. Okrycie z hiszpańskiemi rękawami. Krój N. VIII, fig. 37—41a.



N. 36—37. Majtki i żakieta dla chłopczyka lat 4—6. Przód i krój r. 35. Krój kamizelki N. III, fig. 16—17.



N. 40. Trzewik wycięty z jasnej skóry.



N. 34. Ubranie dla chłopczyka lat 4—5. (Bluzka, majtki i stanik spodni.) Krój N. III, fig. 16—21.

N. 35. Ubranie dla chłopczyka lat 4—6, plecy na ryc. 36—37. Krój N. IV, fig 22—26.



N. 41. Bucik z ażurowego materyału z obłożeniem ze skóry.

N. 38—39. Żakieta do gimnastyki dla chłopczyka lat 6-9. Krój N. VIII, fig. 58—63.



N. 42—44. Rękawiczki, parasolik i wachlarz.



N. 45. Ubranie z surah gładkiego i cieniowanego. (Costume Bayadere.) Zobaczyć ryc. 30.



N. 47—48. Płaszczyk z hiszpańskiemi rękawami. Krój N. III, fig. 37—41a.



N. 46. Suknia z „coulisse". Zobaczyć przód na ryc. 17 w Numerze 28.

Rękawy przymarszczone i odstające w górę na ramionach, przypominają modę dawnych narodowych ubiorów hiszpańskich. *(D. n.)*